NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 30 lipca 1910. Nr. 31.

Zamach polityczny w Hiszpanii.

(Treść na str. 2).



Zamach polityczny w Hiszpanii.

(Do illustracyi tytułowej).

Stosunki polityczne w Hiszpanii są od dawna niezdrowe. Upadek materyalny państwa, który pociągnął za sobą i zubożenie ogólne ludności, musiał wytworzyć w kraju tym bardzo wiele żywiołów niezadowolonych, wskutek tego niespokojnych, burzliwych, bardzo podatnych dla agitacyi anarchistycznej. To też od szeregu lat jest Hiszpania centrem i główną siedzibą anarchizmu międzynarodowego.



Zgon zastępcy dyrektora kolei w Krakowie: Śp. Leon Solecki.

W ostatnich latach wprawdzie dość rzadko występowali anarchiści hiszpańscy na widownię, nie słyszano też tak często, jak dawniej, o ich zamachach, niemniej jednak zgubny ten ruch liczy widocznie wielu jeszcze zwolenników i nie zamierza złożyć broni, czego dowodem ostatni zamach polityczny, dokonany w Barcelonie przed kilku dniami na osobie byłego [prz]ezydenta gabinetu i szefa rządu, Maury.

Prezydent Maura [p]rzybył przed paru dniami na dworzec w Barcelonie, [gd]zie go oczekiwali celem przywitania naczelnicy w[ładz] miejscowych cywilnych i wojskowych, biskup [Bar]celony, szef policyi, rodzina, oraz grono osobisty[ch] przyjaciół. Po przywitaniu się z rodziną i przed[st]awicielami władz, zwrócił się Maura do swego p[rz]yjaciela Oliviera. W tej chwili padło tuż obok kilka strzałów, które zraniły i Maurę i Oliviera, na szczęście lekko tylko.

Sprawcę zamachu aresztowano niezwłocznie. Jest nim 18-letni pomocnik handlowy Rocca; należał on do organizacyi anarchistycznej. W czasie przesłuchania zeznał Rocca, że nie miał zamiaru zabić Maurę, lecz że chciał go tylko zranić, by zemścić się na nim za szereg reakcyjnych zarządzeń z czasów urzędowania na stanowisku prezydenta gabinetu. Zeznał też, że nie miał spólników. Mimo to policya przeprowadziła rewizyę u wielu znanych hiszpańskich anarchistów, oraz u członków „Domu ludowego“, bez skutku jednak, podobnie jak w domu Rocci i jego ojca, którego wraz z drugim synem aresztowano.

Rannego w nogę i rękę Maurę oraz Oliviera przewieziono na pokład statku „Miramare“, gdzie lekarze czuwają nad zdrowiem obu pacyentów. Spodziewają się, że za dni parę obaj chorzy wrócą do zdrowia. Statek „Miramare“ udaje się z obu pacyentami do miejscowości Palmy na wyspie Majorce.

Zgon zastępcy dyrektora kolei w Krakowie.

Po długiej słabości zmarł w poniedziałek bieżącego tygodnia zastępca dyrektora kolei państwowych w Krakowie, radca rządu, Leon Solecki, ceniony powszechnie z powodu niezwykłych zalet serca i umysłu.

Ś. p. Leon Solecki urodził się 1852 r. w Tyczynie, a po ukończeniu wydziału prawniczego na uniwersytecie wiedeńskim, wstąpił do generalnej dyrekcyi kolei Karola Ludwika w Wiedniu, poczem pracował w sekretaryacie dyrekcyi ruchu tej kolei we Lwowie. Po upaństwowieniu kolei Karola Ludwika został ś. p. Solecki przeniesiony 1893 r. do sekretaryatu krakowskiej dyrekcyi ruchu, gdzie 1887 roku otrzymał stanowisko zastępcy naczelnika oddziału prawniczego, a w rok potem został naczelnikiem tego oddziału w dyrekcyi stanisławowskiej. W Stanisławowie spędził ś. p. Solecki 7 lat, aż w r. 1905 powołano go z powrotem do Krakowa na stanowisko zastępcy dyrektora kolei w sprawach administracyjnych.

Zmarły przedwcześnie zastępca dyrektora zjednał sobie w ciągu swej służby ogólny szacunek i poważanie zarówno w sferach kolejowych jak wśród ogółu mieszkańców Krakowa. Był to bowiem człowiek nieskazitelnego charakteru, urzędnik wysoce uzdolniony, ogromnie pracowity i obowiązki swe pojmujący prawdziwie po obywatelsku. Niezwykle koleżeński, uprzedzająco grzeczny, dla podwładnych sprawiedliwy i wyrozumiały, zupełnie przytem skromny, cieszył się szczerą sympatyą. Z przekonań demokrata i członek polskiego towarzystwa demokratycznego, brał żywy udział w pracach tego towarzystwa.

Zgon ś. p. Soleckiego wywołał powszechny i szczery żal w Krakowie.

Cześć Jego pamięci!

Kurs gospodarstwa domowego.

Niedawno dokonano uroczyście zamknięcia kursu gospodarstwa domowego dla kobiet, urządzonego w Jezierzanach koło Buczacza, staraniem zarządu powiatowego tow. kółek rolniczych. Myśl urządzenia takiego kursu okazała się bardzo szczęśliwą. W powiecie buczackim bowiem jest sporo gospodarstw większych, prowadzonych jednak zupełnie nieumiejętnie i nieracyonalnie. Jednym z objawów tej nieumiejętności gospodarki są targi w Buczaczu, które odbywają się prawie codziennie, a zaczynają się dopiero około 11 w południe, kończą zaś wieczorem.

Na takie stosunki nie mogło tow. kółek rolniczych patrzeć obojętnie. Podjęło też ono myśl szerzenia praktycznie wiedzy gospodarskiej po wsiach. A nietylko rolników trzeba tam uczyć podstawowych niemal rzeczy, lecz i kobiet, bo i najbardziej wytężająca praca wieśniaka w polu, nie da mu ani



Fot. J. Niemand, Buczacz.

Kurs gospodarstwa domowego w Jezierzanach: Organizatorowie, opiekunowie, nauczyciele oraz uczenice kursu. W głębi rodzice uczenic.

dobrobytu ani szczęścia, gdy żona źle gospodaruje w domu.

Mimo to wszystko ciężkie były początki usiłowań tow. kółek rolniczych, głównie z powodu nieufności, z jaką ludność tamtejsza do pracy tej instytucyi, jak do każdej pracy społecznej się odnosi. Trzeba było wielkiego zaparcia się i poświęcenia, aby te trudności przełamać, a lud o korzyściach z kursu gospodarstwa przekonać.

W rezultacie na kurs ten zgłosiło się 22 uczennic z różnych wsi powiatu buczackiego, w wieku od 16 do 20 lat. Nauka trwała pełne dwa miesiące, a podzielona była na trzy kursy, z których jeden obejmował naukę gotowania, drugi naukę prania, trzeci naukę szycia, a każda uczenica musiała przejść wszystkie trzy kursy po kolei. Nadto uczono warzywnictwa, obchodzenia się z drobiem i z bydłem, oraz postępowania w razie nagłego zachorowania zwierzęcia lomowego. Uzupełnieniem nauki zawodowej były wiadomości ogólne o obowiązkach względem Boga, rodziny i społeczeństwa, o hygienie i towaroznawstwie w zakresie potrzeb gospodyń wiejskich.

Egzamin, jaki odbył się po zakończeniu kursu, wykazał ogromne postępy w nauce i był dowodem, iż w krótkim czasie zaznajomiły się one bardzo dokładnie z wszystkiemi prawie gałęziami gospodarstwa domowego.

To też szczere uznanie i wdzięczność należy się tym, którzy do urządzenia kursu się przyczynili, przedewszystkiem obywatelskiemu domowi pp. Serwatowskich, którzy na cele kursu odstąpili w swym domu 8 ubikacyi, ofiarowali światło, opał i otaczali kurs swą troskliwą opieką. Z pomocą pośpieszyli dalej usiłowaniom Tow. kółek rolniczych Wydział krajowy i Rada powiatowa buczacka, nadto grono obywatelstwa z okolicy.



Kurs gospodarstwa domowego w Jezierzanach: Uczenice przy pracy w kuchni.



Kurs gospodarstwa domowego w Jezierzanach: Nauka szycia.

Legendy o Janie Orcie.

(Do illustracyi na str. 10.)

Dwadzieścia jeden lat mija od chwili, gdy były arcyksiążę austryacki, Jan Salwator, zrzekł się wszystkich swych praw i godności, jakie mu przysługiwały jako członkowi domu panującego, a dwadzieścia minęło, jak wsiadł na swój okręt żaglowy „Św. Małgorzata“ w Hamburgu i popłynął w stronę Ameryki południowej. W dniu 12 lipca widziano go po raz ostatni w La Plata i odtąd zaginął słuch o nim, o okręcie i załodze. Ponieważ w tych czasach panowały w okolicach, przez które przejeżdżał, ogromne burze, przypuszczano zupełnie słusznie, że śmiali podróżnicy znaleźli śmierć w nurtach morskich, zwłaszcza że od tego czasu, pomimo starań rządu austryackiego, nie można było nigdzie zasięgnąć wiadomości o losie zaginionego arcyksięcia.

Obecnie, na żądanie arcyksięcia Józefa Ferdynanda, wdrożono przez urząd marszałkowski w Wiedniu postępowanie, celem uznania arcyksięcia za zmarłego i ogłoszono w urzędowej gazecie wiedeńskiej odezwę, wzywającą każdego, ktoby cokolwiek o Janie Orcie wiedział, by w powyższym urzędzie, w czasie do 1 lutego przyszłego roku, zechciał się zgłosić, gdyż po upływie tego terminu Jan Orth uznany zostanie za zmarłego.

Jakkolwiek się stanie, w fantazyi ludu Jan Orth będzie żył jeszcze i wtedy, gdy urząd marszałkowski po zbadaniu aktów, opisujących burze z r. 1890, w czasie których miał zginąć, uzna go za nieżyjącego. W związku z romantycznym czynem byłego arcyksięcia, krążą ciągle legendy, widzące w nim ofiarę serca, które ukochało wiele, bolejące nad losem człowieka czynu, który dla idei zrzeka się godności i zaszczytów i na obczyźnie spędza resztę dni żywota.

W związku z powyższem ogłoszeniem, po pismach włoskich i niemieckich krąży mnóstwo fantastycznych opowieści, pochodzących od ludzi, którzy rzekomo mieli widzieć arcyksięcia w ostatnim dziesiątku ubiegłego stulecia, a nawet spędzić z nim chwile przymusowego wygnania. Jednym z nich był niejaki Ernest Demanius z Tryestu, który w roku 1893 miał widzieć arcyksięcia w teatrze w Buenos Ayres.

W tym roku wyjechał Demanius do Ameryki, a na pokładzie okrętu zapoznał się z dwoma współ-



Zatarg Hiszpanii z Watykanem: Król Alfons XIII. z prezydentem ministrów Canalejasem.



Czarnogóra królestwem: Książę Mikołaj Czarnogórski.

towarzyszami podróży i nawiązał z nimi przyjacielskie stosunki, które utrzymywał i przez czas pobytu w Buenos Ayres. Pewnego wieczoru udali się razem do teatru Colon. Przed nimi siedział jakiś wytworny mężczyzna, wyglądający na cudzoziemca. Na dźwięk niemieckiego języka, którym porozumiewał się p. Demanius z towarzyszami, nieznajomy drgnął i nagle się odwrócił. Z miejsca zawiązała się znajomość. W czasie przedstawienia się podał tajemniczy cudzoziemiec kartę wizytową z nazwiskiem: Cabalero de Vera Cruz.



Czarnogóra królestwem: Książę Mirko, następca tronu czarnogórskiego.

W pierwszej chwili był p. D. prawie pewny, że ma przed sobą byłego arcyksięcia, napróżno jednak starał się skierować rozmowę na ten temat, nieznajomy unikał wszystkiego, coby go zmuszało do mówienia o Austryi. I inne drobne okoliczności miały go utwierdzić w podejrzeniu, że jest na dobrej drodze, udało mu się podobno nawet odkryć żaglowiec, którego załoga rozmawiała po chorwacku.

Opowiadano także, że były arcyksiążę pracuje w jakiejś fabryce jako prosty robotnik, wszystkie te wyjaśnienia jednak w świetle rzeczowej krytyki stanowią raczej nowe trudności w poznaniu istotnej prawdy, kryjącej się w mroku tajemnicy.

Także i słynna księżna Ludwika Koburska zabrała głos w tej sprawie i oświadczyła publicznie, iż nie wierzy absolutnie w śmierć swego kuzyna, a paryski inżynier Sousson twierdzi, że w r. 1909 poznał w Ziemi Ognistej myśliwego Fryderyka Othena, który jego zdaniem jest identyczny z zaginionym Janem Orthem.

Organizacya rolnicza.

(Do illustracyi na str. 10).

W powiatach ropczyckim i pilźnieńskim, sąsiadujących ze sobą a położonych w środkowej Galicyi, stoi wysoko oświata i kultura, wysoko też rozwinęło się rolnictwo i przemysł. Wiele do tego przyczyniła się tamtejsza organizacya rolnicza, okręgowe towarzystwo ropczycko-pilźnieńskie, którego działalność zasłużyła na najgorętsze uznanie.

Z powodu rozrostu agend towarzystwa, uznano bra za konieczne i dla dobra instytucyi i dla doteraz powiatów, przeprowadzić rozdział wspomnianej organizacyi na dwa odrębne towarzystwa, z których jedno będzie miało siedzibę w Pilźnie, drugie w Ropczycach.

Niedawno właśnie odbyło się w Dębicy w salach tamtejszego gimnazyum, walne zgromadzenie okręgowego towarzystwa rolniczego pilźnieńsko-ropczyckiego, przy udziale około 500 członków. Na tem to zgromadzeniu uchwalono rozwiązać istniejące towarzystwo, a zawiązać dwa nowe, z których każde otrzyma odpowiednią część majątku macierzystej instytucyi.

Ostatnie wspólne zgromadzenie członków było bardzo ożywione. Dyskutowano na niem i o sprawach administracyjnych towarzystwa i o sprawach ogólnej natury, dotyczących rolnictwa i pracy społecznej. Po wyczerpaniu porządku dziennego podziękował prezes rozwiązanego towarzystwa, dr. Mikołaj hr. Rey, marszałek powiatu pilźnieńskiego, wszystkim tym, którzy w pracy dotychczasowej z nim współdziałali, oraz zachęcał ich do dalszej gorliwej pracy w nowych organizacyach.

Na zgromadzeniu tem wybrano też wydziały obu nowych towarzystw. Prezesem towarzystwa pilźnieńskiego został hr. Rey, prezesem towarzystwa ropczyckiego Tomasz hr. Romer.

Zdjęcie nasze, zamieszczone w dzisiejszym numerze, przedstawia grono ustępujących członków wydziału rozwiązanego towarzystwa rolniczego pilźnieńsko-ropczyckiego.

Zgon znakomitego astronoma.

W historyi współczesnej astronomii, tej tak doniosłej a tak mało dostępnej gałęzi wiedzy, jedną z najwybitniejszych osobistości był znakomity włoski uczony, Giovanni Schiaparelli. Jego badania pchnęły wiedzę astronomiczną w wielu kierunkach na nowe zupełnie tory i stały się podstawą dalszych prac innych astronomów.

Urodził się Schiaparelli w 1835 r. w Savigliano w Piemoncie; kształcił się na uniwersytecie turyńskim, który ukończył z dyplomem inżyniera i architekta. Dopiero potem oddał sie w zupełności ukochanym oddawna studyom astronomicznym. W tym celu wyjechał za granicę i kształcił się u niemi ckiego profesora Enckego, a potem u profesora Ott na Struvego. W r. 1862 powrócił do Włoch i z stał mianowany dyrektorem obserwatoryum astronc micznego w Medyolanie. Stanowisko to zajmow aż do r. 1900. W ostatnich latach życia musiał z niechać wszelkich obserwacyi z powodu ciężki choroby oczu, nie przestał jednak ani na chwilę za mować się teoryą umiłowanego przedmiotu.

Zakres badań Schiaparellego był bardzo rozl gły, a nauka astronomii zawdzięcza mu wiele do niosłych odkryć. Już pierwsze jego prace, badani dróg meteorów i ścisły ich związek z drogami p wnych komet, zapewniły mu poważne stanowisk w świecie naukowym. Osiągnięte przez młodego a stronoma wyniki wywarły wpływ na zmianę nowo czesnych poglądów astronomicznych, specyalnie c do roli, jaką odgrywają spadające gwiazdy w na szym systemie słonecznym. Wspomnieć też należy że Schiaparelli jest odkrywcą nowej planety, He



Zgon znakomitego astronoma: Śp. Giovanni Schiaparelli.

speryi. Wielką wartość mają jego badania historyczno-astronomiczne oraz studya nad astronomią grecką, babilońską i biblijną.

Największy atoli rozgłos zdobył Schiaparelli dla swego imienia wiekopomnem odkryciem kanałów Marsowych; odkrycie to zajmuje do dziś i uczonych i laików, a liczne dyskusye i polemiki na ten temat dowodzą najlepiej zainteresowania tą sprawą.

To też zgon znakomitego uczonego okrył żałobą świat naukowy nietylko włoski, ale wszystkich narodów.



Ostatnie zjazdy w Krakowie: Członkowie i delegaci „Ligi pomocy przemysłowej“ z prezesem ks. Andrzejem Lubomirskim (X) w pośrodku. Fot. Pierzchalski, Kraków.

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

12

(Ciąg dalszy).

— Cóż jeszcze więcej?

— Widziano starą kobietę, przechodzącą podwórze sądowe pod strażą trzech żandarmów. Przed bramą czekała dorożka, i wszyscy czworo w nią wsiedli.

— I jakżeż pan to tłómaczysz?

— Tłómaczę to tem, panie prezydencie, że ucieczka ta mogła się jedynie udać dzięki okolicznościom tak osobliwym i tak dziwnemu zbiegowi faktów, że musimy tu przyjąć za rzecz pewną, pomoc ze strony zupełnie niepodejrzewanych czynników. W Pałacu Sprawiedliwości i gdzieindziej, Lupin ma stronników, którzy krzyżują wszelkie rachuby nasze. Ma swoich ajentów w pańskiem ministeryum, ma ich w prefekturze policyi, ma ich w mojem otoczeniu. Jest to potężna organizacya, policya o wiele zręczniejsza, zuchwalsza, sprytniejsza i bardziej giętka, niż ta, którą ja dowodzę.

— I pan to znosisz, panie Lenormand?

— Ależ bynajmniej.

— Jakto nie? Znosisz pan tak dobrze, że kłaniasz się uniżenie i uciekasz z pola walki.

— Ależ bynajmniej.

— Więc czem tłómaczysz pan bezczynność swoją od początku tej całej sprawy? Coś pan zdziałał ku zgnębieniu Lupina? Nic.

— Przeciwnie.

— Rzeczywiście? Chciałbym wiedzieć!

— Przygotowałem walkę.

— A doskonale!... A podczas, gdyś pan przygotowywał, on tymczasem działał.

— I ja niemniej.

— I wiesz pan choć cokolwiek?

— Bardzo wiele nawet.

— Co pan wiesz? Mówże pan!

Pan Lenormand, opierając się na lasce, przeszedł się najpierw, zamyślony, po obszernej sali. Poczem usiadł naprzeciw p. Valenglay i rzekł jasno i dobitnie:

— Panie prezydencie, ja mam w ręku trzy atuty. Najpierw znam imię, pod którem się obecnie ukrywa Arsen Lupin, imię, pod którem przebył miesiąc w Palace-Hotel, przyjmując co wieczór swoich współpracowników, reorganizując swoją bandę i rządząc nią.

— Czemuż tedy u licha nie aresztujesz go pan?!...

— Otrzymałem te wiadomości dopiero po fakcie. Od tego czasu książę... nazwijmy go książę X., zniknął. Przebywa zagranicą dla innych spraw...

— A jeżeli tu nie wróci?

— Pozycya, którą zajmuje, rola, którą odgrywa w sprawie Kesselbacha, wymagają jego powrotu i to pod tem samem nazwiskiem.

— Pomimo to...

— Panie prezydencie, wspomnę o moim drugim atucie. Znalazłem nareszcie schronienie, w którem się kryje Piotr Leduc, od chwili, gdy opuścił ulicę Demours.

— Czyż być może!

— Tak... Lupin umieścił go w małej willi pod Paryżem.

— No proszę!... A jakże pan to wykryłeś?

— Och, bardzo łatwo! Lupin umieścił przy Piotrze Leduc, jako strażników i obrońców, dwóch swoich wspólników. Otóż ci wspólnicy, są to moi ajenci, dwaj bracia, z których usług ja potajemnie korzystam i którzy wydadzą mi go przy pierwszej sposobności.

— Brawo! brawo! To znaczy, że...

— To znaczy, że: ponieważ Piotr Leduc jest, rzecz można, punktem centralnym, dokoła którego obracają się usiłowania wszystkich tych, którzy śledzą za słynną tajemnicą Kesselbacha, więc przez Piotra Leduc zdobędę lada dzień: 1) sprawcę potrójnego morderstwa, ponieważ ten nędznik przejął zamiar Kesselbacha, a Kesselbach dla ziszczenia swego olbrzymiego a nieznanego projektu potrzebował Piotra Leduc; 2) będę miał Arsena Lupin, gdyż Arsen Lupin ubiega się za tem samem.

— Pysznie... więc Piotr Leduc jest tą przynętą, którą pan znęcasz nieprzyjaciela.

— A rybka chwyta, panie prezydencie! Już widziano podejrzane indywiduum, kręcące się koło willi, w której on mieszka, a będącej pod strażą moich ludzi. Za cztery godziny ja tam będę.

— A trzeci atut, panie Lenormand?

— Panie prezydencie, przyszedł wczoraj list do p. Kesselbacha, list, który ja przejąłem...

— Przejąłeś pan!... no, no...

— ... który otworzyłem i zachowałem przy sobie. Oto ten list. Data jego z przed dwóch miesięcy. Stempel jest z Kap, a list zawiera te słowa: „Mój drogi Rudolfie, będę 1 czerwca w Paryżu, zawsze równie biedny, jak wtedy, gdyś mi dopomógł. Pokładam jednak wiele nadziei w tej sprawie z Piotrem Leduc, którą ci wskazałem. Co za dziwna historya! Czyś ty go odnalazł? Na czem rzecz stoi? Radbym jak najprędzej wiedzieć. Przecież obiecałeś mi całą fortunę w dniu, gdy będziesz mógł z tego korzyść wyciągnąć". — Podpisano: Twój wierny *Steinweg.*

— Pierwszego czerwca, to dziś — ciągnął dalej p. Lenormand. — Kazałem dwom moim inspektorom odszukać tego jakiegoś Steinwega. I nie wątpię, że się to uda.

— I ja też o tem nie wątpię — zawołał, powstając Valenglay i najmocniej cię przepraszam, mój drogi panie Lenormand, pokornie ci to przyznaję, że już myślałem o twojej dymisyi... Na jutro oczekiwałem prefekta policyi i pana Webera.

— Wiedziałem o tem, panie prezydencie.

— Nie może być!

— Gdyby nie to, nie byłbym się fatygował. Dziś rozumie pan mój plan kampanii. Z jednej strony zastawiam sieci, w które się morderca ostatecznie złapie; czy to przez Piotra Leduca, czy przez Steinwega, ostatecznie ja go chwycę. Z drugiej strony kręcę się koło Lupina. Dwóch jego ajentów mam na swoim żołdzie, a zresztą on sam dla mnie pracuje, gdyż podobnie, jak ja, ściga sprawcę potrójnego morderstwa. Tylko, że on sobie wyobraża, że mnie weźmie na kawał, a tymczasem to ja go biorę... Dość, że dojdę do celu, ale pod jednym warunkiem...

— Mianowicie?

— Muszę mieć wolną rękę i działać wedle konieczności chwili, nie troszcząc się o publiczność, która się niecierpliwi, ani o zwierzchników moich, którzy przeciwko mnie intrygują.

— Licz pan na to.

— W takim razie, panie prezydencie, wszystko do czterdziestu ośmiu godzin będzie załatwione... Jeżeli nie, to będzie znak, że ja nie żyję.

II.

W Saint-Cloud. Mała willa położona w jednym z najwyższych punktów wzniesienia, nad mało uczęszczaną drogą. Jedenasta godzina wieczór. Pan Lenormand pozostawił automobil swój w St. Cloud i idąc ostrożnie drogą, podchodzi. Ukazuje się na drodze cień ludzki.

— Czy to ty Gourel?

— Tak, to ja, szefie.

— Czy uprzedziłeś o mojem przybyciu braci Dondeville?

— Tak jest, pański pokój gotów, może się pan położyć i spać... chyba, że spróbują porwać Piotra Leduc tej nocy, coby mnie nie dziwiło, zważywszy na manewry tej osobistości, którą bracia Dondeville zauważyli.

Przeszli przez ogród, weszli po cichu i wyszli na pierwsze piętro. Dwaj bracia Jan i Jakób Dondeville znajdowali się tam.

— Czy niema jakich wiadomości o księciu Sernin? — zapytał ich.

— Żadnych nie mamy, szefie.

— Nie podejrzewa was?

— Ani trochę. Wie, że jesteśmy na pańskich usługach, ale silnie w to wierzy, że pracujemy tylko dla niego.

— A Piotr Leduc?

— Leży cały dzień w swoim pokoju na parterze, albo w ogrodzie. Nigdy nie zagląda tu do nas.

— Lepiej się teraz miewa?

— Ach szefie! nie poznałby go pan — zawołał Gourel. Jakżeż on się zmienił od czasu, gdyśmy go widzieli w domu przy ulicy Demours, w czasie aresztowania Hieronima i Marka! Tak utył, takie pełne ma policzki... Spokój go tak odmienił! Możnaby myśleć, że to nie ten sam.

— Bardzo jest oddany Lupinowi?

— Księciu Sernin raczej, gdyż on się nie domyśla, że ci dwaj to jeden i ten sam. Od niego nic się dowiedzieć nie można. Zawsze milczy. Jedna tylko osoba ma dar rozruszania go, rozgadania. Z nią to i pośmieje się czasem. Jest to młoda panienka z Garches, której go książę Sernin przedstawił — Genowefa Ernemont. Była tu już trzy razy... Jeszcze dziś... I żartobliwie dorzucił:

— Zdaje mi się, że się tam troszeczkę flirtuje... To tak, jak książę Sernin z panią Kesselbach... Ten do niej robi oczy, ten szelma Lupin!..

Pan Lenormand nie odpowiedział. Znać było, że wszystkie te drobne szczegóły, o które się niby to nie troszczył, zapisuje troskliwie w pamięci, by przy zdarzonej sposobności wysnuć z nich logiczne wnioski. Stawił jeszcze parę pytań, a potem w ubraniu rzucił się na łóżko.

— Gdyby cośkolwiek zaszło, obudźcie mnie...— rozkazał. — Jeżeli nie — będę spał... Idźcie teraz! każdy na swój posterunek.

Poszli. Minęła jedna godzina, minęła druga, nagle pan Lenormand poczuł, że go ktoś dotyka. Był to Gourel.

— Niech pan wstaje, panie szefie — rzekł — ktoś furtkę otworzył.

— Ilu ludzi?

— Widziałem tylko jednego, w tej samej chwili zaświecił księżyc... Przyczaił się w cieniu klombu.

— A bracia Dondeville?

— Wysłałem ich tyłami, by mu odcięli drogę. Zastąpią mu, gdy będzie chciał uciekać.

Gourel ujął pana Lenormand za rękę i poprowadził go na dół, do małego ciemnego pokoiku.

— Niech się pan nie porusza, szefie, jesteśmy w ubieralni Piotra Leduc. Otwieram drzwi do jego sypialnej alkowy... Niech się pan nic nie obawia... Zażył veronau, jak co wieczór, śpi mocno, nie obudzi go nic... Tu niech pan stanie... Co? dobra kryjówka? To kotara jego łóżka... Stąd widać łóżko i całą tę stronę pokoju, która leży pomiędzy oknem a łóżkiem.

Okno to było szeroko otwarte i mętne światło, chwilami bardzo jasne, gdy księżyc z poza chmur wypłynął, wpadało przez nie. Obaj z okna tego, wyczekując, nie spuszczali oczu.

— Lekki szelest... coś skrzypnęło.

— Wspina się po kracie z dzikiem winem — szepnął Gourel.

— Jak to wysoko?

— Ze dwa metry, może dwa i pół.

— Idź Gourel — szepnął pan Lenormand — idź, odszukaj tamtych... stańcie wszyscy pod murem i odetnijcie odwrót temu, który stąd będzie wracał.

Gourel poszedł.

W tej samej chwili ukazała się głowa nad parapetem okna i cień jakiś wkroczył na balkon. Lenormand mógł odróżnić, że to człowiek szczupły, wzrostu mniej niż średniego, ubrany ciemno, bez kapelusza. Człowiek ten odwrócił się i przechylony przez parapet okna, popatrzył kilka chwil w próżnię, jak gdyby upewniając się, że nie grozi mu niebezpieczeństwo. A potem przechylił się i wpełzł do pokoju, trzymając się nisko przy ziemi. Zdawało się, że się nie rusza. Ale po chwili pan Lenrrmand zdał sobie sprawę, że czarniejsza plama, którą on tworzył na tle ciemności, posuwa się, przybliża...

Doszła do łóżka. Miał złudzenie, że słyszy oddech tego stworzenia, że domyśla się jego oczu, tych oczu błyszczących, przenikliwych, umiejących widzieć wskroś ciemności. Piotr Leduc westchnął głęboko i obrócił się przez sen.

I znowu milczenie. Nieznajomy cicho i nieznacznie przysunął się do łóżka, tak że ciemna sylwetka odrzynała się od białości prześcieradła. Gdyby pan Lenormand wyciągnął rękę, mógłby go dotknąć. Teraz odróżniał wyraźnie oddech jego na przemiany z oddechem śpiącego, zdawało mu się, że bicie serca jego słyszy... Nagle błysk światła... tamten nacisnął sprężynę latarki elektrycznej i światło padło w pełni na twarz Piotra Leduc. Ale on sam pozostał w cieniu i pan Lenormand nie mógł twarzy jego dojrzeć. Ujrzał tylko coś, co zabłysło w kręgu jasności i zadrżał. Było to ostrze noża... a ten nóż wązki, drobny sztylet, wydał mu się identycznym z tym, który znaleziono w zawiniątku rzeczy po potrójnem morderstwie w Palace-Hotelu...

Wysiłkiem woli opanowywał się, by nie rzucić się na mordercę. Chciał wprzódy wiedzieć, co wróg zamierza. Ręka podniosła się. Czy chciał cios zadać? Pan Lenormand obliczał odległość, by módz w porę cios powstrzymać. Ale nie — to nie był gest morderczy — dyktowała go przezorność. Gdyby się Piotr Leduc poruszył, gdyby usiłował wzywać pomocy... Nachylił się nad śpiącym, jak gdyby coś badał. Prawy policzek... — pomyślał p. Lenormand — blizna na prawym policzku... chce się upewnić, czy to istotnie jest Piotr Leduc. Teraz odwrócił się trochę, tak że widać było tylko jego ramiona. Ale ubranie, palto, były tak blisko, że dotykały kotary, za którą krył się p. Lenormand. Wtedy, na wypadek jakiegoś nieprzewidzianego zajścia, lub ucieczki nagłej, przyszła mu myśl. Wyjął z poły swego ubrania czarną stalową szpilkę, bardzo, bardzo ostrożnie wyciągnął rękę — i wpiął szpilkę w materyał paltota na samym dole, tak że była prawie niewidoczną.

— Niech się tylko poruszy — myślał — niech zadrży z niepokoju, a chwytam go natychmiast.

Ale tamten ani drgnął, pogrążony w swojem badaniu. Wkońcu, przesunąwszy sztylet do tej ręki, w której trzymał latarkę, uniósł kołdrę troszeczkę, potem trochę więcej, aż odkrył lewe ramię śpiącego i obnażoną jego rękę. Światło latarki padło na tę rękę. Cztery palce były widoczne. Piąty ucięty był przy drugim stawie. Po raz drugi poruszył się Piotr Leduc. W tejże chwili światło zagasło, tamten zaś stał czas jakiś przy łóżku nieruchomy, wyprostowany. Czy zdecyduje się i uderzy? Pan Lenormand drżał przed spełnieniem zbrodni, którą tak łatwo mógł powstrzymać, ale której uprzedzać nie chciał, aż dopiero w ostatecznej chwili.

Nagle wydało się panu Lenormand, że widzi podnoszące się ramię... Instynktowo poruszył się, wyciągając rękę ponad śpiącym. Wykonywując ten ruch, potrącił stojącego. Głuchy okrzyk... Tamten, broniąc się, wymierzył cios w powietrre i uciekł ku oknu. Ale pan Lenormand rzucił się na niego i z tyłu opasał go ramionami. Poczuł odrazu, że pochwycony — słabszy i wątlejszy — ulega mu, że unikając walki, stara mu się z rąk wyślizgnąć. Ze wszystkich sił przycisnął go do siebie, przegiął i na wznak wywrócił na podłogę.

— Ach, mam cię... mam cię... — tryumfował teraz.

Dziwną czuł rozkosz, dusząc w żelaznym uścisku tego strasznego zbrodniarza, tego bezimiennego potwora. Czuł, jak się zżyma, wściekły i zrozpaczony...

— Ktoś ty jest?... Ktoś ty jest? — powtarzał. — Teraz będziesz musiał mówić!

I cisnął ciało wroga coraz silniej... coraz silniej... Nagle zadrżał od stóp do głów... Poczuł na gardle maleńkie ukłucie. Rozwścieczony ścisnął jeszcze silniej: ból zwiększył się! I teraz zdał sobie sprawę, że tamten zdołał wykręcić rękę, dobyć sztyletu z zanadrza i nastawić sztylet. Ręką wprawdzie poruszyć nie mógł, ale w miarę, jak p. Lenormand zacieśniał uścisk, sztylet zagłębiał mu się w ciało. Odchylił głowę, chcąc uniknąć ostrza, lecz broń posunęła się w ślad za nim i pogłębiła ranę. Błysło mu w myśli wspomnienie trzech zbrodni... dzieło nieubłaganego stalowego ostrza, spoczywającego mu teraz na gardle... Nagłym odruchem puścił i odepchnął wroga, odskakując parę kroków. Gdy oprzytomniał ze strachu i rzucił się, chcąc go pochwycić, zapóźno już było. Ciemna sylwetka, zwinnie jak kot, wyskoczyła oknem.

— Baczność, Gourel! — zawołał p. Lenormand, wiedząc, że Gourel pilnuje pod oknem.

Wyjrzał. Wychylił się. Cień mignął pomiędzy drzewami. Żadnego odgłosu, ani odpowiedzi. Głębokie milczenie nocy. Z kolei teraz p. Lenormand wyskoczył i nacisnąwszy sprężynę latarki, zaczął przeszukiwać dokoła. Niedługo szukał. Tuż blisko leżało czyjeś ciało. Było to ciało Gourel'a.

— Szatanie! — mruknął p. Lenoimand. — Jeżeli ten nie żyje, drogo ty mi za to zapłacisz!

Jednakże Gourel nie był zabity. Ogłuszony był tylko i w kilka minut później odzyskał znowu przytomność.

— Uderzył mnie pięścią, szefie... tylko tyle, że pięścią uderzył mnie w piersi. Ale co to za siłacz ten drab!

— A więc zatem dwóch ich było?

— Tak... Ten mały, który wdrapał się w górę i ten drugi, który mnie zaskoczył, w czasie, gdy tutaj czuwałem.

— A bracia Dondeville, gdzież oni?

— Tych nie widziałem.

Odnaleźli jednego z nich, Jakóba, obok furtki, zakrwawionego, z rozbitą czaszką. Opowiedział, że wraz z bratem natknęli się na jakiegoś jegomościa, który ich uczęstował należycie, zanim nawet zdążyli pomyśleć o obronie.

— A gdzież się twój brat Jan podziewa?

— Gdy ten jegomość mijał nas, wracając, szedł w towarzystwie drugiego kolegi; tamten był mniejszy od niego. Wtedy Jan podniósł się i mówi: „Pójdę ja ich tropić... ty powiedz szefowi“.

— Czy nie wiesz, co to za jeden ten, który ciebie potłukł?

— Z postawy sądząc, wydaje mi się, że to ten Anglik z Palace-Hotelu, ten, który się wyniósł i którego ślad zgubiliśmy.

— Major?

— Tak, major Parbury.

Po chwili namysłu p. Lenormand orzekł:

— Niema najmniejszej wątpliwości. Dwóch ich było w sprawie Kesselbacha — człowiek ze sztyletem, który zabijał i wspólnik jego, major.

— Tego samego zdania był książę Sernin — mruknął Jakób Dondeville.

— I dzisiaj — ciągnął pan Lenormand dalej — to znowu oni, to znowu ci sami. Tem lepiej. Zawsze to łatwiej schwytać dwóch winnych, niżeli jednego.

Pan Lenormand opatrzył swoich ludzi, a potem wraz z nimi przeszukał teren, poszukając śladów. Jan Dondeville, który nadszedł tymczasem, wręczył mu chustkę do nosa, zgubioną przez jednego ze zbrodniarzy. Chustka znaczona była literą M.



Wszedł starzec siwobrody, o twarzy zoranej głębokiemi zmarszczkami.

— Ta sama litera, co na papierośnicy... — zamyślił się p. Lenormand — dziwaczne! Ile w tej całej sprawie zagadek... dwuznaczności! Ale któż to? To ty Diensy?...

Inspektor Diensy nadjeżdżał bicyklem.

— Szefie! Znalazłem tego starego Steinwega na dworcu kolei — wołał zadyszany — poznałem go i poszedłem za nim.

— Gdzież on jest teraz?

— W hotelu Auvergne obok Lyońskiego dworca.

— Pilnuj go. Jutro rano idź do niego i powiedz mu odemnie, że chcę z nim pogadać. Ale przedewszystkiem nie przestraszaj go. Sprowadź go do mnie do biura o drugiej. A teraz chodźmy spać.

Nazajutrz wcześnie rano p. Lenormand powrócił do Paryża załatwić swoje sprawy i wydać rozkazy. Na chwilę przed drugą, gdy oczekiwał Diensy'ego i Niemca Steinwega, wezwano go do telefonu. To Jan Dondeville go przyzywał.

— Odnaleźliśmy majora Parbury. Zrobił się Hiszpanem i skórę sobie pomalował. Widzieliśmy go przed chwilą. Wchodził do wolnej szkoły w Garches. Przyjęła go ta panienka... pan wie, ta młoda panienka, znajoma księcia Sernin, Genowefa Ernemont.

— Do dyabła!

Pan Lenormand upuścił słuchawkę, chwycił kapelusz, przebiegł korytarz, napotkawszy Diensy'ego rzucił mu pośpiesznie „o piątej tutaj“ i z trzema inspektorami, których zgarnął po drodze, wskoczył w swój automobil.

— Do Garches! Dziesięć franków napiwku!

Przed parkiem Villeneuve, na zakręcie uliczki, prowadzącej do szkoły, przystanął. Jan Dondeville, który go oczekiwał, oznajmił:

— Czmychnął drugim końcem uliczki, dziesięć minut temu!

— Sam?

— Nie, z tą młodą panienką. Mój brat pogonił za nimi.

P. Lenormand zaklął tylko i wziął się sam do kierowania automobilem. Z pełnej wybojów uliczki wyjechali pośpiesznie na polną drogę, prowadzącą do rozstaju, skąd aż pięć dróg rozchodziło się w różne strony. Bez wahania p. Łenormand obrał drogę na lewo. Na wyżynie wzgórka, opadającego ku stawowi, minęli drugiego brata Dondeville, który za nimi krzyknął:

— Jadą powozem... na odległość kilometra!

Szef nie przystając, pogonił, zjechał ze wzgórka, okrążył staw i nagle wydał okrzyk tryumfu.

Na wzniesieniu przed sobą ujrzał powozik... Na nieszczęście obrał złą drogę. Należało zawrócić. Gdy dojeżdżał do skrzyżowania dróg, widział jeszcze powóz, stojący na miejscu. W chwili, gdy zakręcał, ujrzał kobietę, wyskakującą z powozu. Postać mężczyzny ukazała się na stopniu. Kobieta wyciągnęła rękę. Rozległ się huk dwóch wystrzałów. Widocznie źle celowała, gdyż głowa wychyliła się z przeciwnej strony, a mężczyzna, ujrzawszy automobil, zaciął batem konia, który porwał się galopem. Za chwilę powóz zniknął za zakrętem.

W parę sekund Lenormand załatwił się z nawróceniem maszyny, puścił się prosto pod górę i minąwszy dziewczynę, nie zatrzymując się wcale, śmiało zawrócił. Był teraz na leśnej drodze, spuszczającej się w dół, skalistej i stromej, wpośród gęstwiny drzew. O dwadzieścia kroków przed nim powóz, rodzaj kabryoletu o dwóch kołach, podskakiwał na kamieniach, ciągniony ostrożnie przez przezornego konia. Nie było już obawy; ucieczka stała się niepodobieństwem. Stanąć jednakże na tej stromej drodze było niebezpiecznie, więc jak za pewnym łupem, automobil za powozikiem sunął zwolna, lecz tuż... tuż...

— Mamy go, szefie... mamy go... szeptali inspektorowie, podnieceni tym pościgiem.

Niżej, na gładkiej drodze, koń puścił się drobnym kłusem, niespiesznie, ciągnąc powóz środkiem drogi. Wysiłkiem gwałtowcym zatrząsł się automobil. Sunąc bokiem wzdłuż rowu, dogonił powóz, zrównał się z nim, wyprzedził go... Lenormand zaklął... inspektorowie wrzasnęli z wściekłością... Powóz był pusty!

Powóz był pusty; koń puszczony luzem, wracał sobie najspokojniej do jakiegoś zajazdu widocznie, skąd go na czas wynajęto... Dławiąc się gniewem, szef bezpieczeństwa oznajmił poprostu:

— Major musiał zeskoczyć podczas tej krótkiej chwili, gdy nam powóz zniknął z oczu, na początku zjazdu, w lesie. Nawet szukać go nie warto, bo miał dość czas zemknąć...

W powrocie dogonili panienkę, której towarzyszył teraz Jakób Dondeville i która miała minę zupełnie raźną, mimo przebytej przygody. Lenormand przedstawił jej się i ofiarował się odwieść ją do domu; zaraz też zaczął ją rozpytywać o majora Parbury. Zdziwiła się bardzo.

— On nie jest ani major, ani Anglik i nie nazywa się Parbury. Jest to Hiszpan, a imię jego Jan Ribeira.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kolonia lecznicza dla dziewcząt w Krynicy.

W tym roku święci Towarzystwo kolonii leczniczych dla dzieci 25-letni jubileusz założenia. Powstałe w roku 1886 z inicyatywy hr. Anny Potockiej i dr. Józefa Żulińskiego, towarzystwo rozwija się z roku na rok, opierając swoją dodatnią egzystencyę na dobroczynności publicznej. Najlepszym dowodem rozwoju towarzystwa jest co roku zwiększająca się ilość dzieci, wysyłanych dla leczenia się do Rymanowa. Jak ostatnie sprawozdanie wydziału wykazuje, korzystało z dobroczynnych skutków leczenia w Rymanowie w r. 1909 — 157 dzieci w wieku od lat 6 do 13.

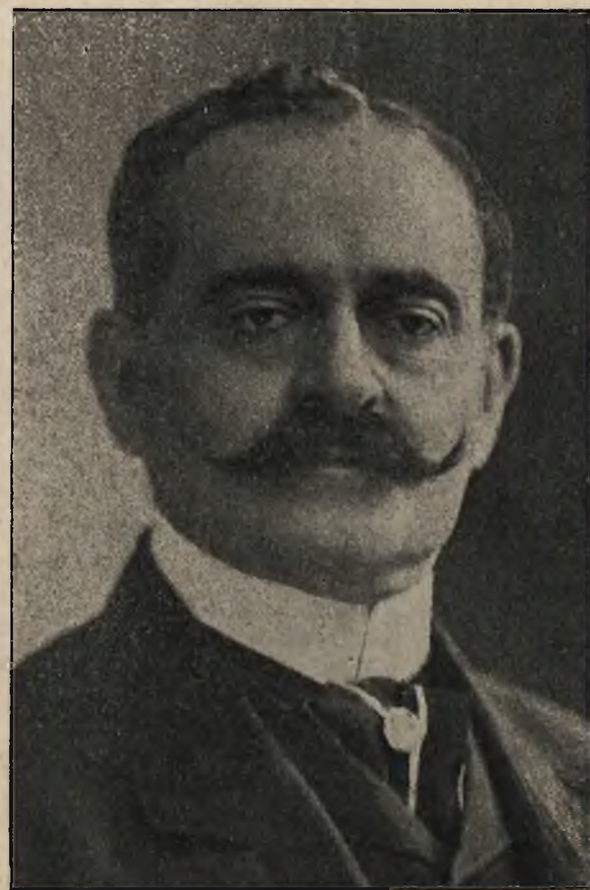
Nową erą w rozwoju towarzystwa jest zapoczątkowanie podobnych kolonii w innych zdrojowiskach krajowych. Zeszłego roku wysłano po raz pierwszy kolonię, złożoną z czternastu dziewcząt w wieku od lat 13 do 18 do Krynicy. Jest to wiek najbardziej przełomowy dla dziewcząt, wiek rozwijania się błędnic i ukrytej gruźlicy, wiek, stanowiący nieraz o całem przyszłem życiu. Dziewczęta z warstw najuboższych przebywają ten wiek krytyczny, wiek rozwijania się w kobietę, w warunkach jak najbardziej niehygienicznych, wśród wyziewów i zaułków wielkomiejskich. To też przykro patrzeć, jak setki bladych, wynędzniałych dziewcząt zgłasza się co roku do towarzystwa z prośbą o przyjęcie do kolonii, — przykrzej, gdy większej części trzeba odmówić przyjęcia z powodu braku funduszów.

W tym roku towarzystwo wysłało po raz drugi 17 dziewcząt do Krynicy, dając im zupełnie bezpłatną podróż, utrzymanie, leczenie i opiekę. Mieszkanie, złożone z 3 pokoi i pokoju dla kierowniczki, oraz 360 kąpieli ofiarował bezpłatnie rząd, właściciel Krynicy. Opiekunką i przewodniczącą komitetu krynickiego jest p. Merunowiczowa, małżonka protomedyka, dyrektorem i lekarzem dr. Lewicki, kierowniczką tegorocznej kolonii p. Żulińska. Obok podajemy fotografię kolonii tegorocznej wraz z personalem opiekuńczym.

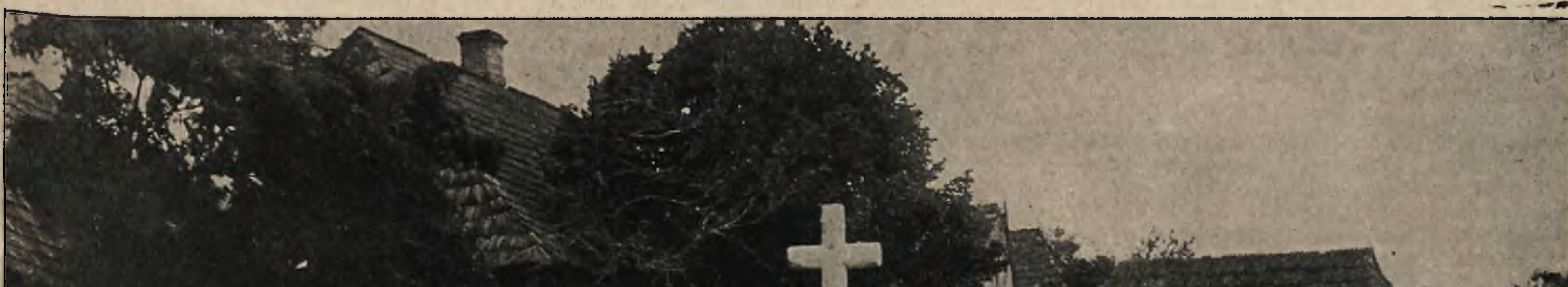
Marzeniem wydziału towarzystwa jest wybudowanie w Krynicy własnego domu dla pomieszczenia w miarę funduszów większej ilości dziewcząt i dla



Kolonia lecznicza dla dziewcząt w Krynicy: Kolonistki z lekarzem drem Lewickim i personalem opiekuńczym.



Zgon znanego dziennikarza: Ś. p. Stanisław Meliński.



Odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego w Jaworniku polskim: Grupa uczestników obchodu po poświęceniu pomnika.

przysporzenia w ten sposób społeczeństwu zdrowych i zdolnych do pracy kobiet.

Odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego w Jaworniku polskim.

Dowodem rozbudzenia się życia narodowego i między ludem polskim, wysuniętym ku Wschodowi, są liczne obchody grunwaldzkiego święta, urządzane w całej prawie Galicyi.

Jednym z najwspanialszych był obchód i odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego w Jaworniku polskim koło Jarosławia. Już od maja rozpoczął ks. Eugeniusz Okoń po gminach okolicznych odczyty o Grunwaldzie i jego znaczeniu, połączone z uroczystościami pamiątkowemi.

Najwspanialej jednak wypadł obchód w Jaworniku, a przyczyniło się do tego odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego, wystawionego ze składek, zbieranych przez ks. Okonia w całej parafii Jawornickiej. Podobnej uroczystości miasteczko owo jeszcze nie widziało, a choć przeszkadzała słota, obchód wypadł pod każdym względem imponująco. Uświetnił go wielki zastęp Sokołów, przybyłych z Dynowa z prezesem p. Biegą na czele i własną orkiestrą. Okoliczni włościanie utworzyli wspaniałą banderyę konną, prowadzoną przez p. Jędrzeja Plutę ze Szklar. Wystąpiła również i miejscowa straż pożarna pod przewodnictwem p. Pawła Jamrozika.

Ogromny pochód wyruszył w dniu 10 lipca do kościoła parafialnego, gdzie uroczyste nabożeństwo odprawił ks. prałat Zaczkiewicz, patryotyczne zaś kazanie wygłosił ks. Okoń. W czasie mszy przygrywała orkiestra dynowska.

Po nabożeństwie podążono na rynek, gdzie ks. prałat Żaczkiewicz dokonał poświęcenia pomnika, poczem ks. Okoń przemawiał o znaczeniu pomników narodowych, p. Pluta o bojkocie wychodźtwa do Prus, p. Wietchy ze Staromieścia o uświadomieniu narodowem ludu. Ostatnim mowcą był przybyły ze Lwowa p. Karol Wierczak, który wzywał lud zachodniej Galicyi do wspólnej obrony kresów wschodnich. Po odsłonięciu pomnika odbyło się przedstawienie dla ludu, a wieczorem uroczysty wieczorek grunwaldzki.

Sala szkolna, pięknie przystrojona, zaledwie mogła pomieścić gości, którzy przybyli z całej okolicy.

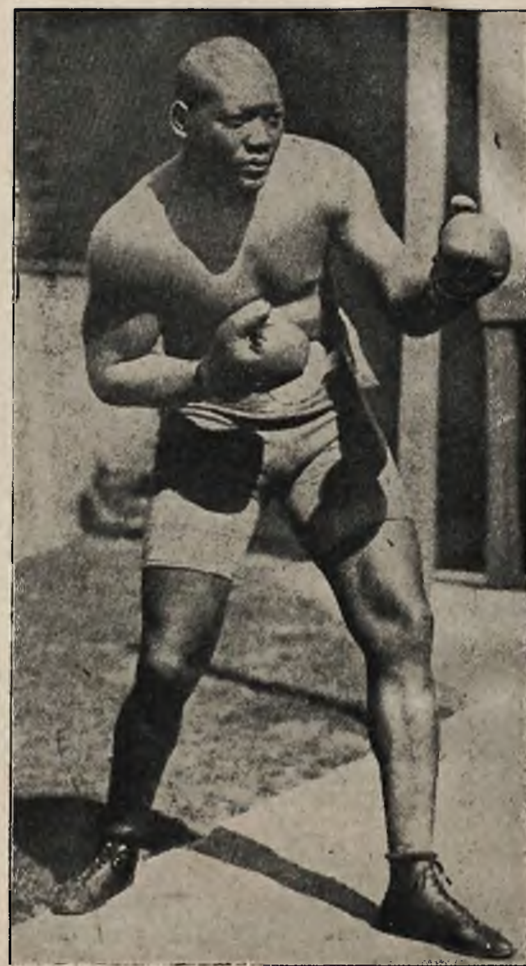
Rozpoczęło słowo wstępne, wygłoszone przez ks. Okonia na temat „Jacy mamy iść do przyszłego Grunwaldu“. Nastąpiła piękna deklamacya p. Stefy Osadzińskiej, dalej produkcye orkiestry z Dynowa. Na zakończenie odegrali miejscowi amatorzy „Wiesława“ i „Matka żyje“. Gra amatorów była wyborna.

Po wieczorku zabrał głos p. Wierczak i podziękował komitetowi za trudy i starania przy doprowadzeniu do skutku wspaniałego obchodu, będącego dowodem patryotyzmu Jaworniczan i okolicznych mieszkańców.



Fot. M. Münz, Lwów.

Deputacya węgierska we Lwowie: Przemówienie prezesa klubu polsko-węgierskiego Stamirowskiego po złożeniu wieńca u stóp pomnika Mickiewicza przez delegacyę młodzieży węgierskiej.



Dzikie zapasy: Zwycięski murzyn Jack Johnson.

Zgon znanego dziennikarza.

Z szeregów lwowskiego dziennikarstwa ubyła w ubiegłym tygodniu postać jedna z najsympatyczniejszych, ś. p. Stanisław Meliński, były urzędnik kolejowy, ostatnio referent administracyjny tramwaju lwowskiego, oraz od lat wielu współpracownik i sprawozdawca muzyczny „Kuryera lwowskiego“.

Niedawno, bo przed paru zaledwie tygodniami, zamieściliśmy w piśmie naszem sylwetkę ś. p. Melińskiego, z okazyi mianowania go referentem administracyjnym tramwaju, życząc naszemu koledze po



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Obchód grunwaldzki w Dubiecku: Ludność, uczestnicząca w uroczystości i pochodzie.



Poświęcenie kościoła w Jaremczu: Nowy kościół w Jaremczu, zbudowany wedle projektu prof. dr. Obmińskiego.

piórze, by na nowem, odpowiedzialnem stanowisku doprowadził do jak najpiękniejszych wyników. Niestety śmierć bezlitosna zniweczyła wszelkie jego zamysły i dążenia, wyrywając go w sile wieku, bo w 45 roku życia, z grona ukochanej rodziny i z pośród oddanych mu szczerze a licznych bardzo przyjaciół.

Ś. p. Meliński pozostawił po sobie pamięć jak najlepszą. Bo był człowiekiem, pragnącym zawsze i w każdym kierunku służyć społeczeństwu. Ceniono go też i lubiano powszechnie. Dowodem tego najlepszym był pogrzeb, który przed domem żałoby zgromadził bardzo liczny zastęp znajomych i przyjaciół zmarłego. Przybyli więc tłumnie urzędnicy kolejowi, z którymi ś. p. Meliński przez ćwierć wieku kolegował, przybyła delegacya służby kolejowej, dalej urzędnicy elektrowni miejskiej, członkowie rady m. Lwowa, prawie wszyscy dziennikarze lwowscy oraz przedstawiciele świata muzycznego.

Na cmentarzu Łyczakowskim, gdzie zwłoki zmarłego złożono na wieczny spoczynek, przemówił naprzód imieniem byłych kolegów, urzędników kolejowych, p. Krzysztofowicz, podnosząc wielkie zalety serca i umysłu ś. p. Melińskiego, a następnie pożegnał go imieniem redakcyi „Kuryera lwowskiego“ pan Adam Zagórski.

Deputacya węgierska we Lwowie.

Po uroczystościach grunwaldzkich w Krakowie, grono Węgrów, którzy reprezentowali swój naród w obchodzie, powróciło do domu, część ich zaś, mianowicie kilku akademików, wybrało się do Lwowa, celem poznania stolicy kraju, oraz złożenia wieńca pod pomnikiem Mickiewicza.



Obchód grunwaldzki w Dubiecku: Banderya włościańska na czele pochodu.

Do Lwowa przybyła deputacya młodzieży węgierskiej w czwartek ubiegłego tygodnia rano; na dworcu powitali gości akademicy lwowscy oraz członkowie klubu polsko-węgierskiego.

W południe zebrało się przy pomniku Mickiewicza kilkaset osób, przeważnie młodzieży akademickiej; delegacya węgierska złożyła wieniec u stóp pomnika, poczem jej przedstawiciel, prezes Czytelni akademickiej w Preszburgu, akademik Kertesz, przemówił po polsku, oddając hołd pamięci nieśmiertelnego wieszcza polskiego, a przemówienie swe zakończył okrzykiem: „Niech żyje ukochana Polska“.

Następnie przemawiał prezes klubu polsko-węgierskiego p. Stamirowski, poczem wszyscy obecni odśpiewali hymn legionów.

Rycina nasza przedstawia chwilę, w której przed pomnikiem przemawia do zebranych p. Stamirowski.



Dzikie zapasy: Pokonany przez murzyna championa Jeffries.

Poświęcenie kościoła w Jaremczu.

Jedna z najpiękniejszych i najchętniej odwiedzanych miejscowości klimatycznych wschodniej Galicyi, Jaremcze, położone w Beskidzie wschodnim, tuż nad granicą węgierską, doczekało się własnego kościoła, wielce dla licznych zastępów letników, oraz dla kolonii polskiej, stale tam przebywającej, pożądanego.

Kościół ten stanął z inicyatywy i dzięki niezmordowanym usiłowaniom komitetu, złożonego z grona osób, spędzających w Jaremczu znaczną część roku. Przez szereg lat zbierano na ten cel fundusze, aż znalazło się ich tyle, że można było przystąpić do budowy. Projekt pięknej świątyni w stylu zakopiańskim wypracował architekt prof. dr. Obmiński i w przeciągu niedługiego stosunkowo



W dwadzieścia pięć lat po maturze: Grono byłych uczniów gimnazyum rzeszowskiego, z księdzem kanonikiem Gryzieckim w pośrodku.

czasu, kościół oddano do użytku polskiej i katolickiej ludności.

Przed paru dniami odbyło się uroczyste poświęcenie tego nowego domu Bożego. Dla Jaremcza był to dzień prawdziwie uroczysty. Nie brakło oczywiście nikogo z mieszkańców, a nadto licznie stawiła się ludność z okolicznych miejscowości, zarówno polska jak ruska. Ceremonii poświęcenia kościoła dokonał ks. dziekan Piaskiewicz ze Stanisławowa, który następnie w czasie nabożeństwa wygłosił piękne kazanie.

Po nabożeństwie odbyło się w salach klubu Jaremczańskiego przyjęcie na cześć wybitniejszych uczestników uroczystości, w czasie którego wygłoszono szereg przemówień i toastów na cześć zasłużonych około budowy kościoła członków komitetu.



Król belgijski w Paryżu: Król Albert z prezydentem Francyi Fallieres w czasie wycieczki.

Obchód grunwaldzki w Dubiecku.

Nie tak wspaniale, nie tak uroczyście, jak w Krakowie lub Lwowie, nie mniej jednak serdecznie i szczerze uczczono pamiątkę zwycięstwa pod Grunwaldem w wielu galicyjskich miejscowościach prowincyonalnych. O wielu obchodach z tej okazyi pisaliśmy już w naszem piśmie, zamieszczając równocześnie odpowiednie zdjęcia fotograficzne.

Obecnie poświęcić należy kilka słów obchodowi rocznicy grunwaldzkiej w Dubiecku, małej mieścinie pod Przemyślem, gdzie przed tygodniem obchód taki urządzono. Uroczystość rozpoczęła się nabożeństwem w miejscowym kościele, poczem odbył się pochód z wcale liczną banderyą włościańską na czele. Udział w obchodzie wzięła tłumnie ludność miejscowa oraz z okolicy.

Obchody narodowe mają w Galicyi wschodniej większe jeszcze znaczenie, jeszcze większą doniosłość, niż w zachodniej części kraju. Ludność polska bowiem wschodniej Galicyi narażona jest na wynarodowienie, a co najmniej na zobojętnienie w sprawach narodowych, jako otoczona ze wszech stron przez żywioł ruski. Obchody wielkich rocznic i pamiątek narodowych, budzą wśród tej ludności świadomość i poczucie odrębności narodowej i potęgują jej przywiązanie do języka ojczystego.

W dwadzieścia pięć lat po maturze.

Jeden z najstarszych galicyjskich zakładów naukowych, gimnazyum rzeszowskie, cieszy się oddawna zasłużoną sławą. Założone w połowie siedmnastego wieku, pierwotnie prowadzone było przez księży Pijarów, tutaj też w latach 1736—1738 nauczał reformator polskiego szkolnictwa, ks. Stanisław Konarski.

Wychowankowie rzeszowskiego gimnazyum zajmują dziś najwybitniejsze stanowiska w kraju, we wdzięcznem sercu chowając pamięć zakładu, w którym się kształcili. Objawem tego są częste zjazdy pomaturyczne, w czasie których odnawiają się węzły przyjaźni, zadzierzgnięte na ławie szkolnej i krzepią serca wspomnieniami szczęśliwej młodości. Rok za rokiem goszczą mury rzeszowskiego gimnazyum swych wychowanków, którzy sławę ich roznieśli po całym kraju i daleko poza granicami.

I w bieżącym miesiącu odbyły się trzy takie uroczystości koleżeńskie, między niemi zjazd maturzystów, którzy przed dwudziestu pięciu laty składali tutaj egzamin dojrzałości. Są to dziś mężowie poważni, zajmujący różne stanowiska społeczne, wszyscy jednak pracują wedle sił dla dobra Ojczyzny i współbraci. Szlachetne zasady, które w nich tu wszczepiono, wydają plon obfity.



Legendy o Janie Orcie: Były arcyksiążę Jan Nepomucen Salwator, późniejszy Jan Orth.

W dniu 6. lipca zjechali się po dwudziestopięcioletniem niewidzeniu się i wedle zwyczaju zgromadzili się w sali, z której przez ćwierć wiekiem rozeszli się w świat szeroki. W starym kościele popijarskim odprawił uroczyste nabożeństwo były ich katecheta, a obecny dziekan i proboszcz rzeszowski ks. kanonik Gryziecki, tudzież jeden z kolegów. Po uczczeniu zakładu, żyjących profesorów i pamięci zmarłych, z rozrzewnieniem wspominano młode lata i krzepiono się wzajemnie, z niejednym bowiem los obszedł się po macoszemu. Hart ducha i siłę do pracy czerpał każdy w zasadach, jakie w niego tu wszczepiono, a miłym objawem wdzięczności dla wychowawców było podziękowanie, złożone profesorom za ich trudy, na ręce ks. kanonika Gryzieckiego.

Zjazd ten pozostawił po sobie niezatarte wspomnienie w sercach uczestników, nic też dziwnego, że postanowili znów spotkać się w tem samem miejscu po latach pięciu.



Organizacya rolnicza: Wydział okręgowego pilżnieńsko-ropczyckiego towarzystwa rolniczego, z prezesem dr. Mikołajem hr. Reyem (X) w pośrodku.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

8

— O, tamten tam! I dlaczego on ma cylinder na głowie — tutaj?

Młodzieniec popatrzył w kierunku jej wzroku, ale mój prześladowca odwrócił się szybko i spiesznie poszedł ku tyłowi okrętu. Przeszedł poza komin i straciliśmy go z oczu.

— Hm... — mruknął młodzieniec — ciekaw też jestem, czy to ten przestraszył sternika?

Roześmiałem się i przytem przypadkiem upuściłem szkatułkę, której z rąk nie wypuszczałem. Podniosłem ją szybko.

— Pan bardzo dba o tę szkatułkę — uśmiechnął się młody człowiek. — Gdybyśmy się byli rozbili, czy byłby ją pan puścił, czy też byłby się pan starał dopłynąć z nią do brzegu?

— Trudno na to odpowiedzieć — odrzekłem, uśmiechając się również.

— Jeżeli się nie mylę, to szkatułka z klejnotami?

— Tak, to szkatułka z klejnotami.

Pokiwał głową z miną moralisty, jak gdyby dziwił się, że człowiek, mogący lada chwilę znaleść się w falach morza, taką wagę przywiązuje do ziemskiej swej własności. Za chwilę brat i siostra (dowiedziałem się później, że byli rodzeństwem) opuścili mnie i poszli dalej.

Na szczęście nie zobaczyłem już więcej mojego wroga — a przynajmniej podczas tej podróży. I ożyłem na sercu i na duszy, gdyż zaświtał brzask, cudowny brzask wrześniowego dnia. Nigdy z taką radością nie witałem słońca, a to uczucie podzielali ze mną z pewnością wszyscy pasażerowie statku. Gdy światło oblało ołowiane wody i rysujące się na niebie wybrzeża Francyi, zrozumieli ludzie wreszcie, że niebezpieczeństwo minęło i że są ocaleni. Niektórzy padali na kolana i modlili się w uniesieniu wdzięczności. Inni znów zaczynali zawodzić hymny. Jeszcze inni śmiali się nerwowo i gadali bez końca. Kilku, ja pomiędzy nimi, stało milcząc, obojętnie napozór.

Wreszcie maszyny zaczęły tętnieć. Rozległ się zgrzyt i chrobot żelaza i drzewa i niezmiernie powoli, przekrzywiony na bok, statek nasz zaczął się poruszać. Chociaż szedł krzywo i przechylony, coraz bardziej zbliżaliśmy się do Calais. W miarę naszego zbliżania się, wypływały naprzeciw nas różne parowce i łodzie; parowce gwizdały, właściciele łodzi wykrzykiwali; wszyscy ofiarowywali pomoc, widząc, że statek uszkodzony, wiedząc, że Towarzystwo hojnie opłaca pomoc udzieloną. Jednakże nasz kapitan nie odpowiadał na te uprzejmości i parowiec nasz, jak ponury zwierz raniony, samotnie dotarł do portu.

Pasażerowie w mgnieniu oka opuścili statek. Na komorze celnej, w gwarze i zamęcie przesunął się koło mnie mój młody znajomy z siostrą, jednakże wroga mego nigdzie nie dojrzałem. Dowiedziałem się, że pociąg do Paryża odchodzi za kwadrans. Kazałem sobie podać kawę przy bufecie. Podczas gdy śpiesznie pochłaniałem to skromne śniadanie, młody człowiek z siostrą przyłączyli się do mnie. Panna, jak i przedtem, była milcząca, ale brat, popijając czekoladę, gawędził wesoło; powiedział mi, że nazywa się Watts i zapoznał mnie z siostrą. Dość miłą miał twarz, a z obejścia jego nie mogłem wywnioskować, czy to człowiek niezależny, czy też komisyoner któregoś z londyńskich magazynów, jadący po towary do stolicy mód. Nie objaśnił mnie ani co do swego zawodu, ani co do interesów; nic dziwnego zresztą, bo ja mu się nawet nie przedstawiłem nawzajem.

— Czy pan jedzie do Paryża? — zapytał nagle.

— Tak jest i spieszno mi już tam stanąć.

— Naturalnie — uśmiechnął się — i ja także tam jadę. Już wiele razy przepływałem Kanał, ale coś podobnego, jak dzisiejszej nocy, pierwszy raz mi się trafiło.

— Podróżni do Paryża, wsiadać! — odezwał się w tej chwili za nami ochrypły głos portyera kolejowego.

Jeden był tylko przedział pierwszej klasy i tam też wskoczyłem, rezerwując sobie kącik. Mister Watts poszedł za mną i usiadł w drugim kąciku tej samej ławki. Miss Watts została na peronie. Był to wagon z korytarzykiem, a korytarzyk znajdował się po stronie dalszej od peronu. Mister Watts poszedł rezejrzeć się po korytarzyku. Ja tymczasem rozsiadłem się w moim kąciku, postawiłem szkatułkę przy sobie, a peleryną okryłem sobie kolana. Miss Watts stała przy drzwiczkach wagonu, stukając parasolem po żwirze peronu.

— To pani nie towarzyszy bratu? — odezwałem się do niej.

— Nie. Zostaję w Calais, gdzie otrzymałam... miejsce — uśmiechnęła się żałośnie.

Mr. Watts powrócił do przedziału i stanąwszy na stopniu, pożegnał się z siostrą i ucałował ją. I ona również ucałowała go serdecznie. Potem, zatrzasnąwszy drzwiczki, mój towarzysz zasiadł na swojem miejscu, po drugiej stronie, zdala od drzwi. Byliśmy my dwaj tylko w przedziale.

— Przystojna dziewczyna — pomyślałem.

Pociąg gwizdnął i konduktor przebiegł, zamykając wszystkie drzwi.

— Do widzenia! Ruszamy! — rzekłem do Miss Watts.

— Monsieur — zawołała półgłosem i zdawało mi się, że zarumieniła się nieco. — Monsieur!

„Czyżby ona była Francuską?“ — pomyślałem sobie.

Uczyniła gest, jak gdyby mi chciała coś ważnego powiedzieć — tak, że ja głowę wysunąłem przez okno.

— Czy mogę pana poprosić, żeby pan uważał na mojego brata? — szepnęła.

— O ile mianowicie? — zapytałem, trochę zdziwiony.

Pociąg powoli ruszył, a ona szła wzdłuż peronu tak, żeby módz ze mną mówić.

— Niech mu pan nie pozwoli pić w bufetach kolejowych po drodze; czekają na niego na Północnym Dworcu. On się oddaje...

— Ależ jakże ja go powstrzymam, jeżeli będzie chciał...

Spojrzała na mnie błagalnie i biegła teraz, dotrzymując mi kroku.

— Och, niech pan zrobi, co pan może! Proszę o to, jak o łaskę. Niech pan wybaczy tę prośbę mnie, zupełnie obcej!

Kiwnąłem głową na znak zgody i kłaniając się biednej dziewczynie na pożegnanie, opadłem na siedzenie.

„Ładne polecenie!“ — pomyślałem w duszy.

Mr. Watts nie znajdował się już w swoim kąciku. Ale i mojej szkatułki nie było.

— A to szelmy przemyślne! — zawołałem; i aż podziw mnie wziął nad zręcznością przeprowadzonej sztuczki.

Wypadłem na korytarz, zajrzałem do wszystkich przedziałów, ale Mr. Watts, którego miałem strzedz przed upiciem się, zniknął. Wtedy sięgnąłem do linki sygnałowej. Linka była zgrabnie przecięta. Pociąg szedł teraz pośpiesznem tempem i miał się zatrzymać dopiero w Amiens. Zanadto się wstydziłem mojej naiwności, żeby o swojej stracie współpasażerom wagonu opowiadać.

— Bardzo ładnie w istocie! — szepnęłem siadając i uśmiechnąłem się — gdyż ostatecznie mogłem sobie pozwolić na uśmiech.

Rozdział XI.

A gdy usiadłem, już jej nie było, a sławetny Mr. Watts także gdzieś przepadł.

— Ach! — wykrzyknęła Roza. Tyle tylko powiedziała. Ale nie można zaprzeczyć, że ją to przeraziło, że ją to okrutnie obeszło.

Siedzieliśmy w saloniku jej mieszkania na ulicy Rivoli, w pobliżu placu Zgody. Skończyliśmy drugie śniadanie, a ona podała mi papierosa. Za przyjazdem wykąpałem się, przebrałem, a teraz na wizycie u Rozy, po dobrem francuskiem śniadaniu, czułem się świeży i rad, jak gdyby nowe wstąpiło we mnie życie.

Już od godziny radowałem się jej towarzystwem i dziwne na mnie spłynęło ukojenie. Zapomniałem nie tylko wszystkich niewygód, ale i przejść, przygód i złych przeczuć drogi. Niepomny byłem, patrząc na tę piękną istotę, że w ciągu tych dwudziestu czterech godzin dwa razy groziła mi utrata życia. Czem dla mnie był ten tajemniczy wróg o prześladowczej, nieubłaganie nienawistnej twarzy? Albo słowa kobiety, która mi groziła na grobli w Dover? Niczem zupełnie!

Kochałem — a oto byłem w obecności tej, którą kochałem.

Dopiero po śniadaniu opowiedziałem Rozie o kulminacyjnym fakcie moich przygód.

— Tak — powtórzyłem — nigdy w życiu nikt mnie tak nie nabrał. Ta dziewczyna oszukała mnie najzupełniej.

— I cóż pan wobec tego zrobiłeś?

— Otóż zatelegrafowałem do Calais zaraz z Amiens, zameldowałem w policyi i uczyniłem to wszystko, co się czyni, gdy się jest ograbionym. A także zaraz za przybyciem do Paryża, zgłosiłem się do policyi.

— Czy oni mają jaką nadzieję, że się to da odzyskać?

— Lękam się, że oni nie nadto są żwawi. A widzi pani, ta para zyskała porządnie na czasie; sądzę zaś, że oboje muszą należeć do jakiejś europejskiej szajki złodziei biżuteryi. Cała ta sprawa bardzo starannie była przygotowana. Ja myślę, że musiano mnie śledzić od chwili, gdy wyszedłem od pani bankiera.

— Bardzo źle się stało.

— Tak, to prawda. Pewien byłem, że będzie pani zależało na tej szkatułce. To też prosiłem bardzo, żeby policya zrobiła wszystko, co jest w jej mocy.

Lekkość mego tonu zadziwiła ją.

— Mój drogi panie! tych biżuteryi było nie wiele, ale miały one wysoką wartość. Były one warte... mniejsza zresztą o to, co one były warte... Był tam naszyjnik, który sam jeden wart był z piętnaście tysięcy funtów.

— Tak! klejnoty... wierzę bardzo!

— No dobrze! czyż to nie klejnoty zginęły?

— Droga pani — rzekłem — mam pretensyę, by mnie uważano za człowieka wyrobionego... to już taka zwykła słabostka u młodych; no, a ja jestem młody... Jako człowiek wyrobiony i doświadczony, długo się zastanawiałem, zanim z pani biżuteryami wyruszyłem w drogę do Paryża.

— Lękał się pan niebezpieczeństwa grabieży?

— To właśnie chciałem powiedzieć.

— To też się pan nie omylił! — Ironia brzmiała w jej głosie.

— Prawda! Ale niech mi wolno będzie mówić dalej. Człowiek doświadczony zrozumiałby odrazu, że szkatułka do biżuteryi jest to przedmiot, pociągający oczy tych, co żyją własnym przemysłem.

— Spodziewam się!

— Dlatego też, jako człowiek doświadczony, starałem się obmyśleć jakiś sposób dla zabezpieczenia tego drogocennego bagażu.

— I pan...

— Obmyśliłem taki sposób.

— No i jaki?

— Wyjąłem biżuterye ze szkatułki i poumieszczałem je w rozmaitych kieszeniach przy sobie; nosiłem się zaś ze szkatułką po to, by odciągać uwagę od moich kieszeni.

Spojrzała na mnie, na razie nie rozumiejąc. Powoli jednak zrozumienie wybłysło jej na twarzy.

— Czy to nie prosty sposób? Proszę powiedzieć! — spytałem.

— To w takim razie biżuteryi ostatecznie nie ukradziono?

— Naturalnie, że nie. Są u mnie w kieszeniach. Jeśli pani sobie przypomina, powiedziałem, że to szkatułkę mi ukradziono.

Zacząłem się śmiać.

I ona roześmiała się także.

— Panie Foster — rzekła — gniewam się na pana okropnie!

— Niech pani wybaczy ten żart — błagałem. Może to nie tęgi żart... Ale oto i biżuterye pani...

I z miną grzesznego, ale ufnego w przebaczenie studencika zacząłem dobywać z kieszeni błyskotliwe jej skarby. I składałem to na jej kolanach. Naszyjnik, o którym wspomniała, był to naszyjnik z pereł. Były tam także rubiny, były i szmaragdy, do których, jak się zdaje, przywiązywała wielką wagę, była wspaniała broszka, w kształcie motyla, nieskończenie misternej roboty. Ale w całym tym zbiorze nie było ani jednego brylantu! Ona może na brylanty zapatrywała się, jak niektórzy mężczyźni na szampańskie wino — jako na coś, nie odpowiadającego najwybredniejszym gustom.

— Nie przypuszczałam, że pan taki figlarz — uśmiechnęła się z marsem na czole.

— Ach! — odpowiedziałem, niewypowiedzianie szczęśliwy. — Jeszcze mnie pani nie zna!

— Niech pan tylko tylko pomyśli, co się ze mną działo przez ten ostatni kwadrans...

— Tak, ale niech też pani pomyśli, jak się pani teraz cieszy. To ja sprawiłem pani tę uciechę — radość stracenia i odzyskania wszystkiego tego, — w ciągu kwadransa.

Uniosła w górę naszyjnik i patrząc na perły, miała w oczach wyraz zachwytu, jak gdyby poprzez ich blaski patrzyła w przyszłość.

— Panie Foster! — rzekła w końcu, nie przestając przyglądać się perłom — nie umiem panu wyrazić, jak jestem rada, że pan jest tu, w Paryżu. Czy pan zostanie aż do mojego występu w *Opéra Comique?*

— Miałem ten zamiar, a jeśli pani powiada, że pani by sobie życzyła...

— Ach, tak! — zawołała. — Życzę sobie tego.

I spojrzała na mnie.

Piękne jej oczy zaszły mgłą wilgotną... Krew uderzyła mi do głowy i czułem gwałtowne jej tętno w skroniach i w głowie.

Byłem w niebie. Ale przebywanie w niebie robi z człowieka śmiałka...

— Pani naprawdę życzy sobie, żebym ja pozostał? — szepnąłem wzruszony.

Oczy jej spotkały się na chwilę z mojemi, a potem rzekła z odcieniem smutku:

— W całem życiu mojem od śmierci mej matki, miałam tylko dwóch przyjaciół; a pan jest trzecim....

— I tyle tylko?...

— Pan nie wie, czem jest takie życie, jak moje — ciągnęła z przejęciem dalej. — Jestem tylko „primadonną“, rozumie pan? Ludzie myślą, że ponieważ mogę zarobić w trzy godziny tyle, ile szwaczka zarabia w trzech latach, ponieważ żyję w zbytku, mam zachcianki i fantazye, mam twarz o pewnych niezgorszych rysach, a mężczyźni zazdroszczą sobie prawa ucałowania mej ręki — ludzie myślą, że wobec tego ja już osiągnęłam wszystko, czego mogę pragnąć.

— Niezgorsze rysy! — wybuchnąłem. — Ależ pani jest najpiękniejszą istotą, jaką spotkałem w życiu.

— Naturalnie! — krzyknęła. — Tak oni wszyscy mówią... Ach, jak ja tego nie znoszę!

— Doprawdy? — rzekłem. — W takim razie ja już nigdy nie powiem pani, żeś piękna. A jednakże i ja też myślałem, że pani czuje się szczęśliwą!

— Szczęśliwą się czuję wtedy, gdy dobrze śpiewam i tylko wtedy— odpowiedziała. — Lubię śpiewać. Lubię porywać wzruszonych słuchaczy. Muszę śpiewać. Ja tem żyję. Ale czy pan wie, co to znaczy? To znaczy, że przynależę do publiczności i ukryć się przed nią nie mogę. To znaczy, że jestem wciąż, wciąż otoczona wielbicielami.

— Pani się na to uskarża?

— Ja ich nie lubię. Żadnego z nich nie lubię. Nie lubię tego ich tłumu. Dlaczego ja poprostu nie mogę zaśpiewać, a potem należeć do samej siebie? A oni wiecznie są koło mnie, ci moi wielbiciele. Ludzie bogaci, ludzie z talentem, awanturnicy, ludzie rozumni — a wszyscy zakochani, wszyscy pełni szacunku, wszyscy gotowi prosić o moją rękę. Są między nimi bardzo porządni ludzie, są też zapewne i nieporządni. I każdy z nich bez wyjątku chce posiadać mnie na własność. Już ja ich znam. Miłość! W moim świecie, w tym, w którym ja żyję, nie ma naprawdę miłości — jest tylko błyskotliwa jej imitacya. Tak, oni wierzą, że mnie kochają. „Po ślubie nie będziesz już więcej śpiewała; moją będziesz wtedy“. Tak mówią jedni. A inni pragnęliby mnie mieć, ponieważ moje gardło, to kopalnia złota. Czytam chciwość na ich twarzach.

Szczere jej rozgoryczenie nie mniej mnie dziwiło, jak ujmowało dla niej.

— Czy pani nie nadto ostro ich sądzi? — odważyłem się zapytać.

— Ej, czy na seryo pan pyta? — odpowiedziała. — Niech pan nie będzie obłudny. Pan dobrze wie, że prawdę mówię.

— Ale ja naprawdę panią podziwiam... — rzekłem po chwili milczenia.

— Pan jesteś inny — odpowiedziała. — Pan nie należy do mojego świata. I to mi się w panu podoba. Pan nie przybiera tej niemądrej miny człowieka, który każdej chwili gotów mi życie oddać w ofierze. Pan dziś rano nie przyszedł z bukietem drogich storczyków, prosząc, „bym raczyła je przyjąć“.

Wzgardliwie ręką wskazała na różne bukiety w salonie.

— Pan wszedł zwyczajnie, uścisnął mi rękę i zapytał, jak się miewam.

— Nie przyszło mi na myśl przynosić kwiaty— tłómaczyłem się niezgrabnie.

— To też. O to właśnie chodzi. Tak to lubię. Jeżeli czego wprost znieść nie mogę, a co zmuszona jestem znosić — to tych nadskakiwań ludzi, którzy zachowaniem swem małpują wielkich książąt.

— A więc są między nimi i wielcy książęta?

— A jakże! Roi się od tego. Dlaczegoż mężczyźni myślą, że kobiecie schlebia to śmieszne nadskakiwanie? Gdyby oni wiedzieli, jak często ja z trudem wstrzymuję się od śmiechu! Są chwile, że dałabym nie wiem co, by wrócić się do tych czasów, gdy nie znałam jeszcze dystyngowańszych ludzi, niż listonosz albo pan odźwierny?

— Ależ chyba nie wszyscy dystyngowani ludzie są tacy nieszczerzy!

— Są nieszczerzy w stosunku do śpiewaczek operowych, jeżeli te są młode, piękne i bogate. A w tem smutnem położeniu ja jestem. Sposób bycia ludzi, którzy krążą dokoła kulis teatralnych, to nie jest mój sposób bycia. Wychowano mnie w prostocie i naturalności, tak jak i pana w pańskiem wiejskiem gnieździe. Nie lubię tak pędzić życia, jakby ono było jednem długiem dyplomatycznem przyjęciem. Ach...



Naturalnie, że nie; są u mnie w kieszeniach.

Zacisnęła ręce, tak że jedna z nitek naszyjnika pękła, a perły rozsypały się po jej sukni.

— Ot! Ten naszyjnik dał mi jeden z moich przyjaciół.

Umilkła.

— Czy tak? — zapytałem, kusząc ku dalszym zwierzeniom.

— On już nie żyje... Pan musiał słyszeć — wszyscy o tem wiedzą — że byłam zaręczona z lordem Clarenceux. To był prawdziwy mój przyjaciel. Kochał mnie... umarł... wszyscy moi przyjaciele umierają... Alreska umarł...

Przerwała się rozmowa. Zastanawiałem się nad tem, czy wolno mi mówić o lordzie Clarenceux, czy też dotykać tego przedmiotu byłoby niedyskrecyą. Roza zaczęła zbierać swoje pezły.

— Tak — powtórzyła z cicha — ten był moim przyjacielem.

Dziwnie mnie uradowało to, że choć szczerze przyznawała, że on ją kochał, nie wspomniała wcale o tem, że sama jego kochała.

— Lord Clarenceux musiał być człowiekiem wybitnym — rzekłem.

— Takim człowiekiem właśnie on był — odpowiedziała z przejęciem. — A w dodatku był to wielki pan! Taki różny od innych! Pragnęłabym go panu opisać, ale nie mogę. Ogromnie był bogaty— patrzył na mnie, jak na biedaczkę. Wspaniałe miał pałace i gust najwytworniejszy. Jeżeli mu się co podobało, nabywał to za wszelką cenę. Wszyscy kupcy go znali i kto miał co najlepszego, co najpiękniejszego, szedł z tem do lorda Clarenceux, bo wiedział, że w nim znajdzie nabywcę. Hojną miał rękę. Nie znałam człowieka o silniejszym charakterze, nie znałam drugiego, któryby umiał być równie poważnym i surowym i tak, jak on, nieskończenie dobrotliwym. Znał najrozmaitsze towarzystwa, a jednakże nie ożenił się. Zakochał się we mnie i ofiarował mi swoją rękę. Odmówiłam mu — bałam się go. Powiedział mi, że się zastrzeli. I byłby to zrobił; to też ja jego propozycyę przyjęłam. Byłabym go z pewnością z czasem pokochała, bo on tego chciał — a czego on chciał, to zawsze stać się musiało... Mądry to był człowiek... on na mój świat zapatrywał się tak samo, jak ja... Ale pan, panie Foster, pomyśli, że jestem dziś w bardzo gadatliwym nastroju...

Gestem tylko zaprzeczyłem.

— Lord Clarenceux umarł. I teraz jestem sama. Okrutnie osamotnioną czułam się po jego śmierci. Brak mi było jego zazdrości!

— Zazdrosny był?

— Zazdrosny, jak nikt inny chyba. Zazdrość jego towarzyszyła mi wszędzie, jak zbrojna straż... Ale mnie i to było miłe. Żywiołowy był; taki szczery, taki władczy w tem wszystkiem... We wszystkich sprawach był energiczny i stanowczy. Gdyby on żył, nie dręczyłyby mnie te niedorzeczne obawy, które mnie teraz tak szarpią.

— Obawy? czego się pani obawia?

— Szczerze mówiąc, boję się tego mojego debiutu w „Opéra Comique“. Mogę sobie wyobrazić — uśmiechnęła się — jakby on ujął w rękę tę całą sytuacyę.

— Czego się pani boi?

— Nie wiem... Wiem tylko, że się boję. Ta Charlotta Deschamps...

— Panno Rozo, parę minut temu nazwała mnie pani swoim przyjacielem.

Czułem, że głos mi zadrżał wzruszeniem.

— To prawda. Bo też pan jesteś moim przyjacielem. Nie mam żadnego prawa do pana, ale pan okazał się dla mnie tak dobrym!

— Ma pani do mnie najbliższe prawo... Czy zechce pani polegać na mnie?

Spojrzeliśmy na siebie.

— Dobrze — odpowiedziała.

Stałem przed nią, a ona ujęła moją rękę.

— Pani mówi, że pani się boi. Sądzę, że obawy pani są bezpodstawne — szczerze wyznaję, że nie mogę sobie przedstawić, by było inaczej. Ale przypuśćmy, że mogłoby coś zajść. Wtedy ja będę na pani usługi.

W tej chwili ktoś zapukał i wszedł. Była to Yvetta. Unikała mego wzroku.

— Czy pani przed próbą wypije, jak zwykle, mleko z jajami.

— Tak, Yvetto. Proszę cię, przynieś to tutaj.

— Pani ma dzisiaj próbę? — zapytałem. — Czy ja czasem nie zatrzymuję pani?

— Bynajmniej. Muszę tam być o trzeciej. To druga próba dziś. Stosownie do mego życzenia, naznaczyli tę godzinę. Właściwie będzie to pierwsza moja próba, gdyż na poprzedniej taką miałam chrypkę, że głosu dobyć nie mogłam.

Wstałem, chcąc się już pożegnać.

— Czyby pan dzisiaj nie pojechał ze mną do teatru? — zapytała z ślicznie zapraszającą intonacyą.

Czy ja się kiedy tego szczęścia spodziewałem!

Wypiła szklankę mleka z jajami i wyruszyliśmy.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Dzikie zapasy.

(Do illustracyi na str. 8 i 9).

Ameryka pozostanie, zdaje się, na zawsze krajem wszelkich ekscentryczności, oryginalności i dziwaczności. Jest to tem dziwniejsze, że mieszkańcy tego kraju, to ludzie przeważnie trzeźwi, ogromnie wyrachowani, myślący przedewszystkiem o interesie. Są jednak przy tem namiętni. I te namiętności prowadzą ich często do wybryków, dla nas wprost niezrozumiałych, każą im kochać się w rzeczach niskich, brutalnych, działających na najniższe instynkty.



Psy w służbie sanitarnej: Pies, tresowany metodą francuską, aportujący czapkę rannego żołnierza.

Stąd też w Ameryce cieszyły się zawsze i cieszą tak ogromnem powodzeniem wszelkie zapasy atletyczne, stąd zwycięsców w tego rodzaju walkach uważają tam za bohaterów narodowych. Rozmiłowani są też Amerykanie w walkach bokserów i nie żałują nigdy grosza na podobne widowiska.

W tych chyba tylko warunkach można pojąć, że nagrody dla dwu bokserów, którzy mieli ze sobą walczyć o szampionat światowy, ustanowiono w nieprawdopodobnie wysokiej sumie, łącznie 1,350.000 koron. A ubiegali się o te nagrody amerykański szampion Jeffries i atleta murzyn Johnson. Walka stoczyć się miała w mieście Reno, w stanie Nevada. Szerokie masy ludności uznały walkę tę za amerykańską sprawę narodową. Naprężenie ciekawości powszechnej było tem większe, że murzyn Johnson już w roku poprzednim pokonał w Australii amerykańskiego boksera Burnsa, co poczytywano ogólnie za „klęskę Ameryki i rasy białej“. Celem ratowania „honoru“ Ameryki i rasy białej zgłosił się w tym roku do walki z Johnsonem słynny szampion, niepokonany dotychczas nigdy mistrz Jeffries, mimo iż już wycofał się był z areny i oddał spokojnemu żywotowi rentiera, na co mu wielki majątek w zupełności pozwalał.



Psy w służbie sanitarnej: Pies, aportujący karabin odnalezionego żołnierza.

Przyszło więc do walki między obu zapaśnikami, w obecności tłumu 400.000 ludzi, z których oczywiście tylko drobna cześć mogła zdobyć miejsca w olbrzymim budynku cyrkowym. Walka skończyła się zupełną klęską „rasy białej“, ponieważ murzyn Johnson odniósł „wspaniałe“ zwycięstwo.

Ostatni „tryumf rasy czarnej“, która mimo teoretycznego równouprawnienia jest właściwie upośledzona, rozpętał przeciw murzynom oddawa tajoną, prawdziwą orgię nienawiści. I to nietylko w stanie Nevada, lecz w całej Ameryce. Celem pomszczenia „hańby“, urządzono w wielu miejscowościach istne pogromy murzynów. Napadano na bezbronną ludność, podpalano domy murzyńskie, mordowano i kaleczono kobiety i dzieci. Barbarzyństwo i zdziczenie święciło tryumf.

Do jakiego stopnia doszło rozpasanie dzikich instynktów, dowodzi fakt, iż około 20 osób utraciło życie w czasie tych rozruchów, a przeszło 100 odniosło rany. Władze z początku patrzyły przez palce na pogrom murzynów, dopiero gdy awantury przybrały zbyt szerokie rozmiary, położono im koniec.

Wyjątkowa siła.

Z płcią męską czyli brzydką coraz gorzej. Kobiety, płeć rzekomo słaba, wypierają mężczyzn coraz konsekwentniej z wszystkich pól i zakresów działania. Nie zadowalają się zdobytymi w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu sukcesami, nie zadowalają się posadami, jakie dziś niemal wszędzie stoją przed niemi otworem, dyplomami akademickimi, które mogą zdobywać, stanowiskami lekarzy, adwokatów, inżynierów itd., lecz dążą do pokonania „nienawistnych“ mężczyzn i w zakresie fizycznych uzdolnień. Coraz częściej więc pojawiają się na widowni świata automobilistki i awiatorki, nie brak też atletek, które popisują się bądź w zapasach, bądź w dźwiganiu ciężarów.

Pierwszeństwo w tej ostatniej kategoryi „emancypantek“ zdobyła niewątpliwie miss Maningo, młoda, 20 zaledwie lat licząca dama, która popisuje się swą nadzwyczajną siłą fizyczną w jednym z berlińskich teatrów rozmaitości. Specyalnie silnie zbudowana jest broda tej dzielnej miss. Jak wskazuje rycina, miss Maningo dźwiga na tej brodzie potężne działo, ważące przeszło 150 funtów.

Jasna rzecz, że występy tego herkulesa w spódnicy budzą nadzwyczajny podziw wśród mieszkańców wszystkich miast, gdzie się pojawi i że mają stałe a ogromne powodzenie.



Wyjątkowa siła: Miss Maningo, dźwigająca na brodzie działo, które waży 150 funtów.

Psy w służbie sanitarnej.

Najpojętniejszy z pomiędzy zwierząt, pies, prawdziwy przyjaciel człowieka, oddaje też swemu panu na każdym kroku nieocenione przysługi.

W ostatnich czasach przyuczono psy do tropienia złoczyńców, a niektóre z nich taką w tem okazały sprawność, iż po prostu w podziw wprawiają każdego, kto z uwagą śledzi ich zabiegi w poszukiwaniu sprawcy karygodnego czynu. Nie mniejsze przysługi oddać mogą one człowiekowi w czasie wojny, nie tylko przy wyszukiwaniu nieprzyjaciela, ale także przy zbieraniu rannych na polu walki żołnierzy. Zbieranie to, jak nauczyło doświadczenie, odbywa się zwykle porą nocną, pies więc może być w tym wypadku nadzwyczaj przydatnym dzięki swemu znakomitemu węchowi i wrodzonej, że tak powiemy, inteligencyi. Wojny anglo-boerska i rosyjsko-japońska wykazały znakomitą sprawność psów w tym względzie.

Za przykładem Niemiec, które niestety zawsze przodują na polu ulepszeń wojennych, poszła i Francya, w której tresurę psów, przeznaczonych do służby sanitarnej, rozpoczęto już w r. 1907, dzięki staraniom kapitana Tobeta i lekarza sztabowego Bichelonne. Wówczas stwierdzono użyteczność psiego rodu w tym względzie i założono towarzystwo, mające się zająć tresurą specyalnego gatunku, nadającego się najlepiej do tego celu. Ostatnie manewry służby sanitarnej we Francyi wykazały też znakomite rezultaty tej hodowli. W Cercotte odbyły się ćwiczenia, w czasie których popisywało się siedm psów towarzystwa wobec licznie zebranej generalicyi z generałem Gerardem na czele i około pięciuset lekarzy wojskowych.

Metoda francuska różni się tem od niemieckiej, iż gdy tam pies znalazłszy rannego, nawołuje szczekaniem o pomoc, czem może łatwo zwrócić i uwagę nieprzyjaciela, we Francyi natomiast aportuje jakiś przedmiot odnalezionego, n. p. jego czapkę lub karabin, z tym przedmiotem udaje się do najbliższego stanowiska służby sanitarnej, skąd zaraz spieszą nieszczęśliwemu z pomocą.

Zwłaszcza przy nierównym, pagórkowatym i lesistym terenie psy, w ten sposób ułożone, oddają znakomite przysługi.

Kronika tygodniowa.

(Nareszcie wyjazd na świeże powietrze! — Kłopoty męża. — Śruba podatkowa, a perpetuum mobile. — Ciężkie chwile rozstania. — Pomoc poczciwego Aronka. — Umiastowienie tramwaju. — Dlaczego jestem za tem? — Jak słomiany wdowiec może sobie czas uprzyjemnić. — O asfaltowaniu miasta i knajpkach w ogólności. — Ułatwienia kolejowe do Zakopanego. — Energiczny protest niewiast. — Egzotyczny pociąg. — Kłopoty Wilusia, a rekord Ferdynanda. — Honorowa koszula. — Ślepa kiszka. — Bronowicka prochownia i ułatwione dojście do królestwa Niebieskiego).

Kraków nareszcie przybrał zwykły wygląd wakacyjny, gdyż obcy rozjechali się już po obchodzie, a i część mieszkańców, która tylko czekała na Grunwald, podążyła w stronę letnisk, by choć przez kilka tygodni użyć świeżego powietrza. A trzeba się spieszyć, podobno bowiem ekscelencya Biliński, sprzyjający swemu krajowi, ma zaprowadzić nowy podatek od świeżego powietrza na razie tylko na próbę i tylko w Galicyi. Przedstawiciele innych krajów koronnych z pewnością by się na to nie zgodzili, nasi jednak posłowie, są to wedle słów biblii „potulni barankowie, którzy dużo szczekając, mało przecież dają mleka“.

Być może, że nie udało mi się zlepienie przysłowia, za co mnie zbeszta jakiś filolog lub archeolog, proszę mi jednak wybaczyć. W ostatnim tygodniu przeżyłem wiele, więc też i duch mój stracił nieco ze swej energii i zwykłej elastyczności. Po pierwsze musiałem czcigodną mą połowicę wysłać na świeże powietrze, a na to potrzeba pieniędzy, ja zaś, podobnie jak budżet austryacki, cierpię na ich brak chroniczny, nie jestem też tak przemyślnym, jak finansowa ekscelencya, która potrafi wynajdywać coraz to nowe źródła dochodów, byle tylko śruba podatkowa nie stanęła w pracy i nie zardzewiała. Przychodzi mi na myśl, że jest to może jedynie racyonalne rozwiązanie problemu *perpetuum mobile*, jeśli się niem nazwie właśnie austryacką śrubę podatkową, która nigdy nie spoczywa. Wynalazku mego nie myślę wcale patentować, owszem z całą lojalnością oddaję go do rozpatrzenia Akademii Umiejętności i proszę, aby zechciała się nad nim zastanowić.

Wracając jednak do mej zacnej magnifiki, której z wieku i urzędu należy się pierwszeństwo, zaznaczyć muszę, że rozstanie nasze, aczkolwiek na tak krótki czas, było bardzo ciężkie, szczególniej dla mnie, nie mogłem bowiem znikąd dostać monety, której zapotrzebowanie w tym właśnie okresie wzrosło ogromnie, co znów świadczyłoby o podniesieniu się ogólnego dobrobytu. Na czarnej giełdzie ruch od rana do późnej nocy, nadworni dostawcy gotówki, zakasawszy poły swych hałatów, niczem charty uganiają po mieście, a szczęśliwym może się nazwać Krakowianin, który pieniędzy nie potrzebuje. Takich jednak, wedle urzędowej statystyki, niema w Krakowie, choć bowiem ma kto, jak to powiadają: „ciężkie hopy“, chciałby mieć jeszcze więcej.

Koniec końcem po długich, a bardzo dolegliwych cierpieniach, udało mi się nareszcie zyskać domowy spokój... *pardon!...* pomyliłem się... wyprawić żonę na świeże powietrze, a to jedynie dzięki pomocy materyalnej poczciwego Aronka, któremu na tem miejscu niech mi wolno będzie złożyć głębokie i z serca płynące podziękowanie! (P. T. Towarzyszom niedoli mogę każdej chwili służyć adresem, n. b. Arona, nie mojej żony, bo to i tak na nicby się nie przydało).

Wystrojona w swego Chanteclaira i zwężoną w kolanach suknię, wobec czego w całej wydatności występują jej zaokrąglone kształty, zadaje basztyl obecnie szyku między góralami i daj Boże, by zawróciła któremu głowę. Możeby ją wówczas wykradł lub uprowadził, sądzę jednak, że taki głupi się nie znajdzie! W tym wypadku ja zyskałem niepobity dotąd rekord światowy. I to mnie właśnie boli!...

Zostałem więc w Krakowie sam, niczem opuszczona i niepocieszona wdowa, choć właściwie prawdę mówiąc, to uradowałem się bardzo wiadomością, że nareszcie po długich pertraktacyach z towarzystwem belgijskiem będziemy już może w tym roku jeździć miejskim tramwajem. Oby tylko miasto nie wyszło na tym interesie tak, jak rząd na upaństwowieniu kolei północnej. Sądzono, iż ma się w garści ptaszka ze złotemi piórkami, pokazało się, że był to zwykły wróbel i do tego zupełnie obskubany. Niech więc baczą ojcowie miasta, ci, którzy na wakacye nie wyjeżdżają, by coś podobnego nie stało się z umiastowieniem tramwaju, z którego ja osobiście bardzo się cieszę, spodziewam się bowiem, że za położone dla miasta zasługi otrzymam dożywotni bilet wolnej jazdy dla siebie, żony i spodziewanego potomstwa. Na razie wprawdzie, choć prawie trzydzieści lat żyję w sakramencie, owocami pracy małżeńskiej wykazać się nie mogę, nie tracę jednak nadziei, że przecież prędzej, czy później i na tem polu czegoś dokażę, nie mogę bowiem pozwolić, by na mym grobie miano skruszyć mą tarczę rycerską. Co rok się spodziewam, że może świeże powietrze poskutkuje i po powrocie z willegiatury obdarzy mnie ma lepsza połowa tak upragnionym potomkiem, jak dotąd jednak, z roku na rok zawodzą mnie nadzieje!

Jak więc człowiek umie, tak sobie uprzyjemnia życie doczesne, udając naturalnie wobec znajomych (tylko proszę mnie przed żoną nie zdradzić, bo byłaby awantura!), że jestem po jej odjeździe niepocieszony. Czas rozłożyłem sobie nader praktycznie, poświęcając część na czynności zawodowe, drugą zaś, daleko większą naturalnie, na przyjemności, do których niestety w mym wieku należy chyba jedynie popieranie przemysłu krajowego pod postacią konsumowania rozlicznych trunkowości. Wielbicielem płci pięknej byłem i jestem, niestety teraz już tylko platonicznie, a to nie dlatego, żebym się, broń Boże, bał mej żony, bo ona przecież daleko, ale z tego jedynie powodu, że siwizna przyprószyła już mą łysinę, a zawiasów w kolanach nawet fabryka Góreckiego naprawić nie potrafi. Tak! tak! Schodzimy powoli na psy, nic też dziwnego, że brak u nas tego entuzyazmu, o co tak się na Kraków obraził korespondent „Słowa Polskiego“.

Tem systematyczniejszy jednak żywot będzie musiał człowiek wkrótce prowadzić, gdyż, jak donoszą codzienne pisma, wobec zbliżania się pory deszczowej, postanowił magistrat asfaltować dalej Kraków, a to Rynek, ulicę Floryańską i Grodzką, przez które człek najczęściej przechodzi. Aby się więc nie narazić na złamanie jakiego członka, lub bodaj podbicie nosa, oka, lub innej części ciała, co żona mogłaby sobie inaczej po powrocie wytłómaczyć, trzeba będzie prowadzić wtedy żywot więcej siedzący, a gdzież lepiej, pożyteczniej i przyjemniej można czas spędzić, jak nie w zaciszu sklepionej, starożytnej knajpki, gdzie na każdym kroku widzisz ową średniowieczną patynę, o której tak rozpisywali się *ex re* panoramy w Barbakanie nasi c. k. archeologowie.

Ceny potraw i napoi po wahaniach grunwaldzkich doszły nareszcie do równowagi, człowiek może sobie pozwolić na małą polędwiczkę, bombkę pilznera lub lampeczkę zieleniaka bez obawy, że wezmą go za przyjezdnego i patryotycznie obedrą żywcem ze skóry.

O wycieczkach do Zakopanego i mowy być nie może. Dyrekcya kolei przyznała wprawdzie zniżki sezonowe, ale tak utrudniła warunki, że musisz bracie wyjechać z Krakowa w nocy z soboty na niedzielę (tak zwany pociąg kominiarski), wracać zaś musisz już w niedzielę wieczór, w Zakopanem więc zostajesz tylko przez dzień, a o to nam żonatym wcale nie chodziło. Podobno nasze żony zwołują w tych dniach wiec w Zakopanem i mają energicznie zaprotestować przeciw podobnemu zarządzeniu, ewentualnie wysłać osobną deputacyę do dyrektora ruchu i ministra kolejowego. Uchwalić się ma także wezwanie żon obu tych dostojników, aby zechciały wglądnąć w położenie biednych słomianych wdów i wdowców i poparły ich sprawę. Wszak nawet pismo święte zaleca opiekowanie się wdowami i sierotami i grozi karami piekielnemi na wypadek robienia im krzywdy. To samo odnosi się też i do wdów słomianych, jak mi właśnie wytłómaczył pewien uczony teolog. Ruch więc między Krakowem a Zakopanem jest obecnie słabszy, niż po inne lata, przyjmujemy to jednak z rezygnacyą do wiadomości, wiemy bowiem, że Wysoki Rząd sprzyja zawsze krajowi, ale w ten sposób, że zawsze cierpi na tem nasza kieszeń.

Podobnież ironią chyba nazwać można zaprowadzenie w sezonie zimowym, tj. w czasie od sierpnia do lipca, czyli przez dziesięć miesięcy, aż pięciu (wyraźnie pięciu!) pociągów pospiesznych między Krakowem a Zakopanem. Będzie to osobliwość kolejowa, pociąg, kursujący raz na dwa miesiące! O czemś podobnem chyba się nawet filozofom nie śniło, choć za ich czasów nie znano jeszcze kolei żelaznych. Co do mnie, mógłbym się zgodzić na ten pomysł ministerstwa kolejowego, godny zaiste opatentowania, ale pod jednym jedynym warunkiem. Chodzi mi mianowicie o to, by bilet jazdy tym pociągiem, tak zwana „returka“, miał ważność od pociągu do pociągu, to jest przez dwa miesiące, z tem jednak znowu zastrzeżeniem, że na jego podstawie będzie każdy podróżny uprawniony na koszt Wysokiego Rządu otrzymać przez czas czekania wolne pomieszkanie wraz z całkowitem utrzymaniem w pierwszorzędnym hotelu w Zakopanem. Jeśli kolej zgodzi się na mój projekt, będę pierwszym, który zaopatrzy się w bilet do owego legendarnego pociągu. Sławę jego poeci i malarze powinni stanowczo podać potomności!

Wobec więc tylu i tak ważnych okoliczności, a dodam, że część ich tylko ze względu na brak miejsca przytoczyłem, trudno wymagać od człowieka, nie poświęcającego się specyalnie lingwistyce, by składał nowe przysłowia, odpowiadające wszelkim regułom, lub bodaj reprodukował dawne bez błędu. Zważywszy więc te okoliczności łagodzące, zechcą mi łaskawie P. T. Czytelnicy wybaczyć, jeśli ono przysłowie, które pozwoliłem sobie zastosować do naszych galicyjskich posłów brzmi może nieco dziwacznie, każdy jednak przyznać mi musi, że zupełnie trafnie charakteryzuję ich polityczną działalność.

Ale dajmy spokój sprawom domowym, trzeba poruszyć i coś z polityki. Łatwo bardzo, mógłby nas bowiem kto posądzić, że się nią zupełnie nie interesujemy. Najbardziej, sądzę, zmartwionym byłby cesarz Wilhelm, który podobno czytuje stale *Nowości illustrowane* i wedle wskazówek w kronice pomieszczanych, reguluje zwykle politykę światową. Niestety, nie zawsze mnie słucha i źle na tem często wychodzi, gdyby bowiem był mnie zapytał o radę co do wysłania listu do prezydenta Nikaraguy byłbym mu stanowczo odradził. Z powodu jednak obchodu Grunwaldzkiego zapanowało pomiędzy nami pewne oziębienie stosunków wzajemnych. Niemcy bowiem nie mogą nam przebaczyć, że tak uroczyście a poważnie obchodziliśmy narodowe święto i nie pozwoliliśmy sobie na nic takiego, czegoby oni mogli później użyć za broń przeciw nam. To im spokoju nie daje, w miarę też, jak przebrzmiewają zwolna echa obchodu, rośnie złośliwość hakatystycznych pismaków, zawiedzionych w swych nadziejach. Oni mieli już gotowe artykuły o prowokacyach, jakich względem nich dopuszczono się w Krakowie, a tu ze wszystkiego nic! Rzucają się też na nas z wściekłością gadziny, której nadeptano na ogon, ale przedtem wyrwano ząb jadowity!...

Cesarza Wilhelma gnębi też myśl, iż mógł się znaleźć inny koronowany kolega, który pierwej, niż on, odbył podróż na aeroplanie. Bo trzeba wiedzieć, że król bułgarski w czasie pobytu w Belgii pozwolił sobie na wzniesienie się w powietrze i w tym wypadku zdobył rekord światowy pomiędzy europejskimi monarchami. Na razie nie grozi to wybuchem wojny europejskiej, psuje jednak krew w Berlinie, wobec czego spodziewają się nowych czyraków. Nie udały się także obchody tannenbergskie, mające być przeciwwagą Grunwaldu, rozbił się nadto znowu balon niemiecki, co wszystko razem do kupy wziąwszy tak maltretuje władcę Germanów, iż nie pocieszy go nawet owa honorowa i złotem ozdobiona z przodu i z tyłu koszulina, jaką mu mają w dowód czci ofiarować petersburskie panie. Berlinki, aby się nie dać uprzedzić, przygotowują także i inne części honorowej płóciennej garderoby, a uroczyste przyobleczenie Jego Cesarskiej Mości w te godowe szaty ma się odbyć publicznie, w czterdziestą rocznicę wybuchu wojny francusko-pruskiej.

Daleko jednak większy smutek ogarnął świat cały na wiadomość, że chluba rodu Karageorgiewiczów, obiecujący młodzian, książę Jerzy, będzie się musiał poddać operacyi ślepej kiszki, gdyż podobno stosowanie najrozmaitszych okularów nic nie pomogło. Urzędownie wprawdzie temu zaprzeczono, dało to jednak sposobność niektórym złośliwym dziennikom, nawet serbskim, do umieszczenia wzmianki, czyby nie było dla niego korzystniejszem, gdyby się tak np. poddał operacyi mózgu! Ja sądzę, że operowanie czegoś, czego niema, pozostałoby zawsze bezprzedmiotowem. Serbowie mogą być dumni ze swojego prynca i powinni żałować, że nigdy nie zasiędzie na ich tronie!

X.

Mogiła nieśmiertelnych.

Wśród wielu, niejednokrotnie bardzo egzotycznych pomysłów, jakie pojawiają się bądź po pismach codziennych i peryodycznych, bądź w osobnych broszurkach, a dotyczących najprzeróżniejszych spraw, wysunął się na czoło projekt stworzenia narodowego Mauzoleum, mogiły nieśmiertelnych, gdzieby można składać prochy najzasłużeńszych synów narodu.

Autor projektu, ukrywający się pod literami Z. Ś. S., pragnie, aby „mogiła nieśmiertelnych" była trwałą pamiątką rocznicy grunwaldzkiej. O zewnętrznym wyglądzie „mogiły" daje ogólne pojęcie fotografia modelu, zamieszczona w dzisiejszym numerze. Model ten sporządzony został przy współudziale artysty rzeźbiarza Bielińskiego i architekta Mączyńskiego. Jak na rycinie widzimy, wije się od podstawy aż do wierzchołka spinalna alea świerkowa. Na jej krawędzi granitowe stożki, połączone baryerą, a na nich popiersia zasłużonych. Na wierzchołku wznosi się skrzydlaty geniusz narodu. U podstawy półkolista pochyłość, wyłożona mozaiką, skąd wiodą trzy stopnie. Po obu stronach skrzydła, a na nich bronzowe figury, przedstawiające: poezyę, sztukę, naukę i oświatę. Dalej wejście do wnętrza, zamknięte wrotami z bronzu.

Wnętrze „mogiły" przedstawia sobie autor w sposób następujący. Wokół sklepiony krużganek, dwa inne w krzyż. Na ich skrzyżowaniu okrągła, żałobna kaplica, z katafalkiem w pośrodku i figury wszystkich polskich świętych. W ścianach zaś krużganków szereg grobowców, bądź zajętych, bądź przeznaczonych na prochy pewnych ludzi. Tablice odpowiednie objaśniałyby zwiedzających o życiu i zasługach spoczywających tam mężów.

Tak przedstawia się projekt ów w ogólnych zarysach, z pominięciem mniej ważnych szczegółów.

Co do kosztów budowy takiego Mauzoleum narodowego, autor pragnie, by pokrył je cały naród składkami, nietylko w gotówce lecz i w robociźnie, podobnie jak było z mogiłą Kościuszki lub kopcem Unii Lubelskiej we Lwowie.



Mogiła nieśmiertelnych: Projekt na narodowe mauzoleum, wykonany przy współudziale artysty-rzeźbiarza Bielińskiego i architekta Mączyńskiego.

Zatarg Hiszpanii z Watykanem.

(Do illustracyi na str. 4).

W ostatnich tygodniach wysunęła się na czoło wszystkich ważniejszych spraw politycznych sprawa zatargu między rządem hiszpańskim a Watykanem.

Wiadomo, że Hiszpania była zawsze państwem szczerze katolickiem, nawet klerykalnem. Gdy więc obecnie rząd, na którego czele stoi minister Canalejas, wydał dekret, pozwalający innowiercom wywieszać godła na swych świątyniach, odbywać procesye i t. d., przez co innowiercy zostali do pewnego stopnia zrównani w swoich prawach z katolikami, Stolica apostolska zaprotestowała przeciw reformom wspomnianym, uważając je za sprzeczne z postanowieniami obowiązującego obie strony konkordatu.

Nota Watykanu miała być wystosowana w tonie tak stanowczym i ostrym, że rząd hiszpański



Fot. Pierzchalski, Kraków.

Ostatnie zjazdy w Krakowie: Delegaci Kół T. S. L. z prezesem posłem dr. E. Bandrowskim (X) na czele.

tczuł się tem dotknięty. Postanowił też nie ustępować z zajętego wobec innowierców stanowiska. Stanowisko króla jest w tej sprawie identyczne ze stanowiskiem rządu, który dąży do utrzymania zwierzchnictwa władz świeckich oraz do ograniczenia ilości stowarzyszeń religijnych.

Ta ostatnia dążność stała się tembardziej aktualną, że wskutek likwidacyi dóbr kościelnych i zakonnych we Francyi, mnóstwo zakonów musiało opuścić Francyę i szukać oparcia w innych krajach, przedewszystkiem w sąsiedniej a katolickiej Hiszpanii. Gwałtowny napływ członków rozmaitych kongregacyi zakonnych nie mógł być pożądanym dla Hiszpanii, stąd też nawet w szerokich masach ludności kraju pojawiły się głosy niechętne zakonom.

Mimo to ani król Alfons XIII ani gabinet obecny nie dążą do zerwania stosunków z Watykanem ani do zgnębienia katolicyzmu. Idzie im tylko o utrzymanie programu liberalnego i wyzwolenie się z pod wpływów Watykanu.

Należy się spodziewać, że zatarg obecny zostanie w najbliższym czasie załagodzny i że zakończy się na obustronnych ustępstwach przy redakcyi nowego konkordatu, w sprawie którego oddawna już toczą się rokowania.

Rycina nasza przedstawia króla Alfonsa XIII. w czasie narady z szefem rządu, prezydentem ministrów Canalejasem.



Sukcesy lwowskiego cyklisty w Paryżu: Start rozstrzygającego wyścigu na torze Velodromu-Buffalo w Paryżu, z współudziałem Lwowianina p. Pintschera (X).

Czarnogóra królestwem.

(Do illustracyi na str. 3 i 4).

Do szeregu mocarstw europejskich przybywa wprawdzie tylko *de nomine* nowe, to jest królestwo czarnogórskie. W dniu 13 sierpnia, w którym przypadnie pięćdziesięcioletni jubileusz rządów księcia Nikity, ogłoszoną będzie Czarnogóra królestwem, na co się już mocarstwa prawdziwe zgodziły. Nic im przecież nie zaszkodzi, czy władcy czarnogórscy chadzać będą w koronach królewskich, czy też w mitrach książęcych. Awans Czarnogóry nie ma właściwie żadnego politycznego znaczenia, jest tylko zaspokojeniem ambicyi księcia, który bądź jak bądź dzielnie rządzi swym krajem, nie większym niż kilka galicyjskich powiatów razem wziętych. Niedostępne góry czynią kraj jen niezdobytym; znaną jest nadto dzielność mieszkańców tych gór, którzy wprawdzie nie tworzą regularnego wojska, każdej jednak chwili gotowi są do obrony ojczyzny, jak to mieliśmy sposobność stwierdzić w ubiegłym roku, gdy groziła wojna austryacko-serbska. Każdy zdolny do noszenia broni staje wtedy w szeregu, a tej wrodzonej dzielności mieszkańców i niedostępnemu położeniu zawdzięcza kraj swą niepodległość, tak jak obecnemu księciu, a przyszłemu królowi, jaki taki rozwój kulturalny i ekonomiczny. Czy przy tej sposobności zmieni kraj swą nazwę i przyjmie dawną „Zeta“, nie wiadomo; jest to rzecz podrzędna. Czy nowe królestwo zwać się będzie tak czy owak, faktem jest dokonanym, że Europa, która się rzekomo demokratyzuje, zwiększyła ilość królestw. Powinno to także wpłynąć na powodzenie „Wesołej wdówki“,



Fot. Pierzchalski Kraków.

Ostatnie zjazdy w Krakowie: Delegaci „Gwiazd“ galicyjskich ze swymi sztandarami. W pośrodku prezes „Gwiazdy“ stanisławowskiej, wiceprezes Koła polskiego, poseł Stwiertnia.

której treść zaczerpnięta jest właśnie z tamtych stron.

Stwierdzić należy, że książę Nikita (Mikołaj) jest rzeczywiście bardzo czynnym, a kraj mu wiele zawdzięcza. Jest on w jednej osobie panującym, dyplomatą, o ile tego potrzeba kontrolorem dochodów państwowych, popierającym ruch obcych, mecenasem sztuk i umiejętności, ba nawet jedynym autorem dramatycznym. W tych dniach właśnie otwarto w Cetynii teatr narodowy, zbudowany ku uczczeniu pięćdziesięcioletnich rządów księcia. Rozpoczęły się w ten sposób uroczystości jubileuszowe dramatem księcia „Bałkańska carowa“.

Przybycie na jubileusz zapowiedzieli obaj zięciowie: król włoski i serbski, spodziewani są inni koronowani koledzy, między nimi jeden z austryackich arcyksiążąt i któryś wielki książę rosyjski.

Król belgijski w Paryżu.

(Do illustracyi na str. 10).

Młody, a tak popularny w najszerszych sferach w kraju i za granicą król Albert odwiedził Francyę wraz z swą żoną właśnie w czasie święta narodowego, które corocznie przypada w dniu 14 lipca. Powitanie ze strony rządu francuskiego było uroczyste, ze strony ludności Paryża często bardzo entuzyastyczne. Królestwo zwiedzili w towarzystwie prezydenta Fallieresa osobliwości miasta, w dniu zaś 14 lipca obecnymi byli na wielkiej paradzie wojskowej w Longchamps. Wieczorem odbył się uroczysty obiad, wydany przez królestwo w ambasadzie belgijskiej na cześć prezydenta rzeczypospolitej, poczem udano się na galowe przedstawienie. Wizyta królestwa belgijskich w Paryżu jest objawem dobrych stosunków, panujących między oboma krajami, prasa jednak mało się nią zajmowoła, właściwie bowiem nie ma ona wielkiego znaczenia politycznego. Belgia jest zbyt małą, by się z nią liczono, pokój europejski jest także należycie ubezpieczony, nie trzeba więc obawiać się ani kombinować, kto z kim trzyma. Grunt, że brak wszędzie pieniędzy, a bez nich nikt do wojny się nie zabiera. Zresztą i politycy mają wakacyę, możemy więc spać spokojnie, bez obawy, że zahuczą nad naszemi głowami pociski, rzucane z aeroplanów.

Jako jeden z monarchów, pracujących nad utrzymaniem europejskiego pokoju, był król Albert przedmiotem licznych owacyi wraz z żoną swą, Elżbietą, głównie w czasie parady wojskowej. Przy tej sposobności i staruszkowi Fallieresowi dostała się spora paczka toastów.

Ostatnie zjazdy w Krakowie.

W przededniu obchodu grunwaldzkiego, bądź też w czasie samych uroczystości, odbyło się w Krakowie kilka zjazdów, o których dotychczas nie mogliśmy zdać sprawy, ponieważ numer poprzedni naszego pisma poświęciliśmy wyłącznie opisowi wspomnianego obchodu, tak że na inne, ważne zresztą sprawy, miejsca nie stało.

Z pomiędzy zjazdów tych ogólną uwagę skupiły na się dwa zwłaszcza, a to zjazd delegatów Ligi pomocy przemysłowej i zjazd delegatów T. S. L. Obie te instytucye odgrywają w naszem życiu ekonomicznem, kulturalnem i narodowem rolę bardzo doniosłą, obie położyły w ciągu swego istnienia wielkie zasługi wobec społeczeństwa, które też otacza je swoją życzliwością i opieką, ciesząc się serdecznie z coraz piękniejszego i pomyślniejszego ich rozwoju.



Fot. Pierzchalski, Kraków.

Echa uroczystości grunwaldzkich: Grupa Kujawianek w swych malowniczych strojach.

Liga pomocy przemysłowej.

Powołana do życia przed kilku laty, z szlachetnej intencyi odrodzenia ekonomicznego naszego kraju i podniesienia w nim przemysłu, rozwinęła się w krótkim czasie do znaczenia instytucyi wielce poważnej i silnej. Dziś liczy „Liga“ 214 ogniw, jakiemi są towarzystwa filialne na prowincyi, w tem 87 towarzystw pomocy przemysłowej, członków zaś przeszło 11.000. Obrót kasowy przekroczył sumę 100.000 koron. Sprawozdanie zarządu „Ligi“ z działalności w roku ubiegłym, tworzy pokaźną księgę o 412 stronach. Szczupłe ramy naszego pisma nie pozwalają nam na wdawanie się w szczegóły tego sprawozdania, zaznaczyć tylko należy, że działalność „Ligi pomocy przemysłowej“ była niestrudzona na wszelkich polach i w różnych kierunkach. Była ona i organizacyjna i dydaktyczno-agitacyjna, a w ostatnich miesiącach objęła i wsi polskie, co stanowi potężny krok naprzód w doniosłej sprawie uprzemysłowienia kraju.

Zjazd delegatów „Ligi“ obradował przez dwa dni, mianowicie we wtorek 12 i środę 13 lipca, w sali rady miejskiej. Na pierwsze inauguracyjne zebranie przybyli prócz delegatów: przedstawiciele ministerstwa skarbu szef sekcyi dr. Gałecki, ministerstwa robót publicznych radca sekcyjny dr. Wajgart, ministerstwa rolnictwa sekretarz minist. dr. Górski, z urzędu dla popierania rękodzieła inżynier Till, dalej przedstawiciel namiestnictwa radca dworu Szeligowski, z prezydyum miasta Krakowa dr. Leo, dr. Szarski i Sare, przedstawiciele Izby handlowej i przemysłowej, tow. Kółek rolniczych, T. S. L., „Macierzy szkolnej“ na Śląsku, kilku posłów i t. d. — Przybyli nadto i uczestniczyli w obradach delegaci instytucyi przemysłowych w Warszawie i Poznaniu.

Obradom przewodniczyło prezydyum „Ligi“, na której czele stoi poseł Andrzej ks. Lubomirski.

T. S. L.

Starsze od „Ligi“, bo 19 lat istniejące Towarzystwo Szkoły Ludowej, wspaniałszymi może poszczycić się owocami działalności. Mimo ciężkich warunków, wśród jakich towarzystwo to spełnia swą misyę oświatową, cyfry sprawozdania za rok ostatni przedstawiają się imponująco. Utrzymuje bowiem T. S. L. własnym kosztem: 3 gimnazya, 2 seminarya nauczycielskie, 4 szkoły wydziałowe, 105 szkół ludowych, 147 kursów nauki początkowej, 30 kursów przemysłowych i handlowych, 14 ochronek, 18 burs, 7 uczelni, 1824 czytelń i wypożyczalni, 9 domów ludowych, 3 zbiory muzealne, 6 biur porady prawnej. — Budżet Zarządu głównego wynosił w r. 1908 koron 447.000, w r. 1909 845.000, a w r. 1910 już 1,168.462 koron, co naj-

lepiej świadczy o ogromie działalności i szybkości rozwoju towarzystwa. Członków liczy T. S. L. prawie 30.000, rozdzielonych na 247 kół.

Mimo to budżet na rok bieżący zamknięto ogromnym deficytem, bo wynoszącym 171.000 koron. Wzrastające z roku na rok zadania i obowiązki, wymagają coraz większych wydatków, które nie znajdują pokrycia w dochodach, zwłaszcza że w roku ostatnim ofiarność publiczna wysiliła się na „dar grunwaldzki“.

Obrady delegatów, których w tym roku przybyło na zjazd przeszło 300, toczyły się w pierwszym dniu zjazdu w auli uniwersyteckiej, drugiego zaś w sali rady miejskiej. Przewodniczył im prezes T. S. L., poseł dr. Ernest Bandrowski.

powszechnie we Lwowie, zamieszczamy dziś zdjęcie fotograficzne, nadesłane nam z Paryża, a przedstawiające chwilę rozpoczęcia biegu ze współudziałem naszego cyklisty.

Wedle ostatnich wiadomości zamierza p. Pintscher, nie zarzucając sportu rowerowego, poświęcić się lotnictwu i w tym celu kształci się w Paryżu na pilota.

Echa uroczystości grunwaldzkich.

Żywo tkwią jeszcze w pamięci wszystkich tych, którzy w dniach uroczystości grunwaldzkich bawili w Krakowie, wspomnienia owych podniosłych, pełnych nastroju chwil, wspomnienia wielkiego święta narodowego, powszechnej manifestacyi uczuć miłości Ojczyzny.



Echa uroczystości grunwaldzkich: Grono ćwiczących delegatów Sokolstwa amerykańskiego.

Na ten podniosły i szlachetny nastrój wpłynęła przedewszystkiem obecność i współudział w obchodzie przedstawicieli wszystkich warstw narodu i wszystkich ziem polskich. Wśród tych, którzy z najdalszych stron do Krakowa na obchód przybyli, zwracali uwagę zwłaszcza delegaci Polonii amerykańskiej, tej czwartej dzielnicy polskiej. Słusznie byli oni przedmiotem gorących i szczerych manifestacyi, słusznie witano ich tak serdecznie, bo im najtrudniej było wybrać się z za Oceanu do Polski, a obecnością swą złożyli najwymowniejszy dowód gorącego przywiązania do ziemi ojców.

Polacy amerykańscy, którzy przybyli do Krakowa, mieli w swem gronie delegatów tamtejszych towarzystw sokolich; delegaci ci wzięli udział w grunwaldzkim zlocie sokolim. Ich ćwiczenia na poręczach, oraz ćwiczenia wolne, wykonane w drugim dniu zlotu na boisku, podobały się ogólnie i świadczyły o wysokim poziomie, na jakim się polski Sokół w Ameryce znajduje. Druhowie z Ameryki, to wszystko ludzie krzepcy, dziarscy, fizycznie doskonale rozwinięci i znakomici gimnastycy. Tłumy publiczności, która ćwiczeniom zlotowym się przypatrywała, nagrodziły piękne ćwiczenia Sokołów amerykańskich hucznymi oklaskami, a Sokoli galicyjscy urządzili im wspaniałą manifestacyę, obnosząc na rękach wśród śpiewów i okrzyków.

Z Krakowa pojechała delegacya Sokolstwa amerykańskiego do Lwowa, gdzie tamtejsze gniazda przyjmowały ich bardzo serdecznie.

Z innych zbiorowych wycieczek, które w uroczystościach grunwaldzkich brały udział, wyróżniała się wycieczka Kujawianek. Przybył ich do Krakowa wcale poważny zastęp, w pięknych, barwnych strojach ludowych.

Zjazd „Gwiazd“.

Wspomnieć należy również o zjeździe delegatów „Gwiazd“, stowarzyszeń rękodzielniczych, istniejących w Krakowie, Lwowie i wielu miastach prowincyonalnych. Delegaci „Gwiazd“ brali udział w uroczystościach grunwaldzkich ze swymi sztandarami, a przy tej sposobności odbyli wspólne narady w sprawie zorganizowania związku swoich stowarzyszeń.

Sukcesy lwowskiego cyklisty w Paryżu.

W sportowym świecie lwowskim wyrobił był sobie bardzo poważne stanowisko cyklista tamtejszy Franciszek Pintscher. Na torze lwowskim odniósł on szereg pięknych zwycięstw, które wróżyły mu piękną przyszłość w zakresie tego sportu.

W ubiegłym roku wyjechał pan Pintscher ze Lwowa za granicę, celem wypróbowania swych sił w zawodach z najlepszymi jeźdźcami świata. Ze nadzieje, jakie do osoby młodego lwowskiego cyklisty przywiązywano, nie były bezpodstawne, dowodzi wynik wyścigów na torze Velodromu-Buffalo w Paryżu. Do biegu rozstrzygającego dopuszczono oczywiście tylko najlepszych współzawodników, a wśród tych znalazł się Pintscher, który przybył do mety trzeci, tuż za dwoma światowej sławy cyklistami, z których jeden postawił rekord światowy szybkiej jazdy.

Ze względu na to, że pan Pintscher znany był

Głosy publiczne.

Sanatoryum dr. Dłuskiego. W dniu 9 lipca odbyło się w Zakopanem w willi prof. Ignacego Baranowskiego walne zgromadzenie członków Sanatoryum dla chorych piersiowych w Zakopanem. Prezes Rady Nadzorczej radca dworu prof. dr. E. Wicherkiewicz, objąwszy przewodnictwo, poświęcił przedewszystkiem gorące wspomnienie zmarłym członkom Stowarzyszenia: J. E. hr. Kazimierzowi Badeniemu i ks. prof. Wł Knapińskiemu. Pamięć ich uczczono przez powstanie. Po stwierdzeniu prawomocności obecnego zebrania i odczytaniu, oraz przyjęciu protokołu z poprzedniego, przystąpiono do właściwych obrad, a więc przedewszystkiem do Sprawozdania dyrektora dra Kazimierza Dłuskiego.

Część lekarska sprawozdania wykazała, że osiągnięto w roku ubiegłym bardzo dodatnie wyniki lecznicze, bo aż w 80% wypadków nastąpiła absolutna lub względna poprawa stanu chorych. Wyniki te będą ogłoszone w specyalnych pismach lekarskich.

Sprawozdanie z czynności administracyjnych było długie, gdyż dokonano w roku ubiegłym całego szeregu zmian i ulepszeń. A więc zbudowano nowy dom dla służby z kanalizacyą, wodociągami, łazienką, centralnem ogrzewaniem i elektrycznem oświetleniem. Parter zaś gmachu sanatoryalnego — tąd przez służbę zamieszkały — przerobiono kowicie na salony dla pacyentów, oraz na pomieszkania lekarskie, gdyż jedne i drugie były już zbyt szczupłe wobec coraz wzrastającej frekwencyi chorych. Salony wykonane przez firmę J. Sp[illegible]ing z Krakowa, według projektów pp. artystów: Jana Rembowskiego, Henryka Uziembły, oraz Karola Frycza, wypadły bardzo pięknie i przedstawiają prawdziwą artystyczną wartość. Jedną z piękniejszych ozdób są witraże i mozajki, wykonane w Zakładzie St. Żeleńskiego w Krakowie. Obecna sala teatralna jest obszerna, ma też dużą i dobrze urządzoną scenę, co jest bardzo potrzebnem wobec częstych koncertów i przedstawień teatralnych.

Na uboczu urządzono dużą palarnię z wielkim wentylatorem, gdyż, niestety, nawet w sanatoryach dla chorych piersiowych, trzeba się liczyć z nałogiem palenia, który trudno odrazu wykorzenić.

W zakresie urządzeń medycznych rozszerzono obok mały gabinecik laryngologiczny; wkrótce wykończoną zostanie pracownia Röntgena; wreszcie oddano już do użytku nowe laboratoryum chemiczno-bakteryologiczne, urządzone według ostatnich wymagań wiedzy lekarskiej.

W zakresie hygieny zaprowadzono nader cenne maszynowe mycie naczynia stołowego, łączące w sobie jednocześnie mycie, odkażanie i obsuszanie tegoż. Używanie ścierek odpada zupełnie.

Dawniej już dokupione 8 morgów gruntu dołączono do parku. Urządzono więc ścieżki przeważnie poziome, ustawiono ławki, wreszcie oświetlono elektrycznie cały park oraz drogę dojazdową. Wreszcie zagrodzono starannie całe terytoryum zakładowe.

Po sprawozdaniu dyrektora, które z uznaniem przytęto do wiadomości, przystąpiono do odczytania protokołu komisyi rewizyjnej, który w bardzo pochlebny sposób ocenia cały sposób prowadzenia Zakładu, oraz jego książkowość. Następnie wybrano dwóch nowych członków Rady nadzorczej, p. Teodora Frenklera oraz dra Józefa Skłodowskiego z Warszawy.

Wreszcie przystąpiono do rozpatrzenia bilansu za rok 1909. Po raz pierwszy okazał on czysty zysk, który postanowiono rozdzielić między członków w stosunku 4% od włożonego kapitału. Bilans zatwierdzono i udzielono Dyrekcyi absolutoryum. Formę podejmowania dywidendy postanowiono ogłosić w pismach wszystkich trzech zaborów.

Przed zakończeniem posiedzenia przewodniczący wyraził gorące podziękowanie pp. doktorom: Kazimierzowi i Bronisławie Dłuskim za ich umiejętną i gorliwą pracę dla dobra Sanatoryum, poczem posiedzenie zamknięto.

Z półek księgarskich.

Erazm Obniski: Nowelle i opowiadania. Warszawa. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. W Krakowie u

Gebethnera i Spółki. 1910. Nakład autora. Czcionkami drukarni „Czasu“ Czysty dochód przeznaczony na rzecz Nowo Uszyckiego rz. kat. Towarzystwa Dobroczynności na Podolu.

Prace utalentowanego autora, z zawodu ziemianina, w wolnych tylko chwilach poświęcającego się literaturze nie są nam obce, niektóre z nich drukowane były w dziennikach krakowskich i lwowskich. Na zbiorek, wydany nader starannie, składają się opowiadanie „Z Jasnej Góry w Częstochowie“ w malowniczy sposób charakteryzujące ruch pątników w cudownem miejscu i uczucia przejmujące każdego, kto zjawi się w tem sercu Polski, oraz udatny fejleton: Z odeskiego bulwaru, przedstawiający nader zajmująco życie tego pięknego miasta w porze wieczornej. Udatna nowelka „Wśród stepu“, w której autor uwidocznił dokładną znajomość życia naszego ludu, sympatyczna sylwetka „Rózia“ i obrazek „W gnieździe zarazy“ opisujący stosunki w nadgranicznej miejscowości, nawiedzonej cholera, składają się na całość godną polecenia. Cel szlachetny, na który autor przeznaczył dochód z rozsprzedaży, zasługuje na uznanie i poparcie jego szlachetnych celów.

Elliseh Morn: **Zbudź się i walcz.** Sztuka odnawiania duszy i ciała, przekład Wł. M. Kozłowskiego, Warszawa 1911. Wydawnictwo M. Arcta.

Wydawnictwo podało nam zajmującą bardzo pracę w udatnem tłumaczeniu.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 29.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp.: H. Potocka Krzków, W. Lech Sandomierz, J. Lipski Kraków, O. Górkowa Chyrów, M. Staniszewski Liszki, J. Grossmann Jasło, H. Ogibiński Stanisławów, J. Knapik Lwów, M. Lisowska Przemyśl, J. Wyka Rzeszów, K. Zachara Sandomierz, F. Gebhardt Kraków, M. Planecka Białka, J. Planecki Nowy Targ, K. Strzelbicki Łódź, W. Link Wiedeń, J. Gryziecka Przemyśl, S. Radomska Jarosław, K. Goliński Jaworów, W. Wierońska Warszawa, M. Więckowska Warszawa, A. Biliński Tarnopol, W. Ossowski Warszawa, J. Pick Łódź, K. Radoszewski Sanok, M. Łopatkiewicz Lwów, W. Ostrowski Piotrków, K. Kwaśniewski Kraków, J. Bandrowski Żytomierz, M. Kulinowska Jasło, J. Moszczyński Radłów, J. Czarkowski Kołomyja, H. Orenstein Bochnia, K. Klapholz Łańcut, K. Armatys Jodłów, M. Jasińska Ostrów, J. [illegible]yński Rawa, S. Rogoziński Lwów, H. Raczyński Sanok, [illegible]k Płock, K. Karpiński Sanok, H. Krupiński Warszawa, [illegible]iński Jasło, L. Lindenbanm Krosno, B. Liskowacki Przemyśl, [illegible] Cieplik Lwów, S. Krzyżanowski Podgórze, F. Schmidt Kraków, M. Mrozowicz Stanisławów, K. Arciszewski Lwów, H. Kubik Jarosław, J. Orlecki Zakopane, M. Brzostowska Brzeżany, W. Mróz Stanisławów, R. Gromnicki Radomyśl, K. Orosz Warszawa, J. Łodygowski Rawa, J. Abt Płock, W. Thun Łódź, K. Wierzyński Kraków, Chory w szpitalu Bonifratów Kraków, J. Korczyńska Kamieniec, W. Sapecki Ropczyce, M. Kamocka Radziwiłłów, J. Lesiński Kraków, H. Lasocińska Rzeszów, T. Cichocki Lwów, R. Lichański Jasło, H. Kruszelnicka Kraków, B. Ciszewska Lwów, J. Tuch Solec, J. Dobija Bielsk, K. Jahoda Cieszyn, A. Trzeciak Kraków, M. Krawecka Brzesko, K. Jurajdowa Glinianv, M. Serbeńska Budzanów, M. E. Spett Jodłowa, K. Kaim Kraków, S. Kowalówka Kraków, M. Markiewicz Uście Solne, W. Nowacki Chmielów, W. Krupski Zborów, J. Szpak Kraków, K. Kucharski Kraków, T. Cholewicz Kraków, M. Farbowska Skawina, T. Turecka Tarnopol, W. Lewicka Czarna, M. Małaczyński Pikułowice, M. Czeczntka Podłęże, J. Menczak Radymno, K. Fuchs Czeremchów, A. Bocsoń Bóbrka, J. Badura Rożdzień, Z. Boulangé Gawłówek, B. Rzepecki Borysław, S. Faliszewski Baligród.

Arytmograf:

B i e c z
E r a t o
R a b i n
N a r e w
A r t o t
T r a c z
O b r a z
W a r t a
I r e n a
C z a r t
Z o r z a

Logogryf:

W a w e l
I r a d e
S a n k i
Ł ó d k a
A m a n t

Szarada: Skarga.

Rebus: Praca podnosi człowieka, a leniuchowi brak czasu i ruszyć się nawet.

Szarada: Marysieńka.

Łamigłówka: Pokora przebija niebiosa.

Łamigłówka przekładana:

G r a b w u **j**
R z y m ć m **a**
U d o g ł ó **g**
N o c I d z **i**
W o ń p o l **e**
A r f a m u **ł**
L i n s t ó **ł**
D u r m y ł **o**

Nagrodę za dobre rozwiązanie otrzymała p. **M. Jasińska Ostrów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

18

I Amerykanin siadł natychmiast do stołu, by napisać depeszę do jednego z ajentów Lewisa Jacksona. Wobec tego Panajon uznał się za zwyciężonego. Pan de Baudricourt, Garrigue i de Lagunan byli również tem zachwyceni. Markiz zaczął odrazu domyślać się, że chwytający się takich fantastycznych pomysłów Amerykanin musi być niezmiernie bogaty. Obydwaj członkowie klubu zdumieni byli tą oryginalnością i rozrzutnością swego nowego znajomego. Zwłaszcza baron rozpływał się nad taką gotowością spełniania swych zachcianek.

— Pan lubi grać? — zapytał Panajon Smitha.

— Bardzo — odpowiedział Amerykanin, nie przestając pisać. — Gra i kobiety są urokiem życia.

— I ja jestem tego zdania — odrzekł Panajon.

— Co do kobiet, to myśmy się tego już domyślali — rzekł sekretarz Lewisa Jacksona.

— Po czem pan się tego domyślał?

— *Hallo!* Bił się pan i nie chciał pan nawet powiedzieć powodów tego pojedynku! Musiał więc pan mieć jakieś zajście o kobietę z Piotrem Carteleguem!

— I jakie jeszcze zajście! — dodał baron z uśmiechem.

— Baronie! — rzekł złodziej z wymówką.

— Przecież nie kompromituję nikogo! — odparł Raul de Lagunan. — Niech mi pan pozwoli powiedzieć bez wymieniania nazwisk, w kim jest pan zakochany! Jest to niezwykła historya!

Joe Smith nie przestawał pisać, lecz jednocześnie nadstawiał uszów.

— Niech pan zresztą mówi! — zgodził się Panajon.

— Panowie — odezwał się baron — nasz ekscentryczny przyjaciel, pan Turner, nie jest zakochany, jakby można sądzić, w jakiejś wielkiej damie lub gwieździe teatralnej, lecz w skromnej nauczycielce...

— Och! — zdziwili się markiz i syn fabrykanta pigułek.

— W dawnej nauczycielce... — poprawił Panajon.

Czuł, że ogólny podziw zwraca się na niego.

— Obecnie jest praczką — dodał.

Złodziej nie mylił się. Myśl, że można się zająć ubogą pracownicą zachwycała obu tych „neurasteników“. Wiadomość ta jednak wprawiła w zdumienie barona. Nie słyszał nic jeszcze o odkryciu, uczynionem przez panią Radoux.

— Pracuje w pralni? — zawołał.

— Przy ulicy Laugier, 56 — odpowiedział Panajon.

— A ja sądziłem, że ona teraz dzięki pańskim staraniom zajmuje jaki elegancki apartamencik.

— Chętnie ofiarowałbym jej nie tylko apartamencik, ale cały pałacyk... Nie chce jednak tego...

— Dlaczego?

— Sam nie wiem... Nie chce mnie słuchać, a nawet widzieć...

— Dziwne to!

Maksym Duret — myślał Joe Smith — tłómaczy to przezornością młodej panny, która spodziewa się wzruszyć i przekonać Piotra Cartelegue'a. Jest to możliwe... Kobiety są chytre i słusznie zupełnie powodzenie swe opierają na głupocie mężczyzn. Wyrwał z bloku papieru kilka zapisanych arkusików, zawierających wskazówki co do wysłania much, wyjął z portfelu banknot, dał znak służącemu, by się zbliżył i oddał mu to z poleceniem udania się na telegraf. Tymczasem baron nie przestawał dziwić się.

— I nie ma pan nadziei wzruszyć i rozczulić miłością swej praczki? — zapytał.

— Niestety... Strasznie jest nieprzystępna.

— Zdaje mi się jednak, że nie zawsze była tak srogą dla pana!

— Możliwe! — odparł fałszywy Karol Turner.— Taką jednak jest teraz.

— Dziwne to, gdyż te dziewczęta, jeżeli mają jaką wadę, to w każdym razie nie taką, jak ta. Widocznie źle pan się do niej wziął.

— Niech pan w takim razie weźmie się lepiej!

— Ja?

— Tak, pan.

— Ale ja naprawdę sądzę, że ta młoda osoba nie będzie mi stawiała takich trudności...

— Nie pozostaje więc panu nic innego, jak próbować swych sił!

— Upoważnia mnie pan do tego?

— Najzupełniej upoważniam pana, drogi baronie, lecz mogę o wszystko założyć się, że pan nic od niej nie zyska.

— Jeżeli nie będzie mi pan podstawiał nóg...

— Proszę być o to spokojnym!

— W takim razie przyjmuję zakład.

— *All right!*

— Jaka stawka? — ciągnął dalej Raul de Lagunan.

— Cokolwiek bądź, jak już powiedziałem, jaka drobnostka... — odrzekł Panajon. — Naprzykład, samochód.

Baron nie śmiał cofać się.

— Zgoda na samochód! — rzekł.

— Doskonale! Brawo! Bardzo ładna stawka!— przyznawali świadkowie zakładu.

„Może za wiele zaryzykowałem... — myślał z niepokojem baron. — Do dyabła! Ładnie się urządzę, gdy przegram. Ech! Luiza nie pomyśli nawet o stawianiu oporu... Bez najmniejszego zachodu odniosę to zwycięstwo!“

— Drogi panie — zwrócił się syn fabrykanta pigułek do Panajona — pan musi należeć do naszego klubu... I pan również — dodał, patrząc na Joego Smitha. — Klub „neurasteników“ został jakby stworzony umyślnie dla panów.

— Ja i Garrigue będziemy pańskimi ojcami chrzestnymi — ofiarował się baron.

— Bardzo jestem wdzięczny — odrzekł Amerykanin.

— Panowie są nadzwyczaj uprzejmi! — rozpływał się z radością Panajon. — Lubię bardzo kluby paryskie! Są one zachwycające! Ach! Jakże inne tracą w porównaniu z nimi.

— Przecież i w Melbourne muszą być bardzo dobre — zauważył markiz.

— Och! Te kluby w nowych krajach — odparł Panajon z miną, wyrażającą obrzydzenie. — Zawsze tam się wkręci jakiś podejrzany osobnik!

XII.

— Uciekam!

— Proszę poczekać przynajmniej do południa!

— A któraż teraz godzina?

— Za dziesięć dwunasta... Nie widzi pani zegara?

— Skąd ja wiem, czy dobrze pokazuje to zardzewiałe pudło?... Mój brzuch wskazuje, że już jest południe.

Zdania te zamieniano w pralni przy ulicy Laugier w chwili, gdy Panajon wraz ze swymi gośćmi opuszczał welodrom. Julia, wysoka, chuda dziewczyna, z bielmem na lewem oku, postawiła na desce swe żelazko i biorąc chustkę, chciała już wychodzić, lecz pani Lambert starała się ją zatrzymać.

— I chce pani tak zostawić robotę? — mówiła dalej właścicielka. — Nie może pani dokończyć tej koszuli?

— Kończyć tę koszulę?... A może zacząć jeszcze nową?...

Inne prasowaczki pochyliły się nad stołem, jak gdyby nic nie słyszały i pracowały ze zdwojoną gorliwością. Matka Lambert obawiała się rozdrażniać niesforną prasowaczkę, lękając się trochę jej min, a zwłaszcza znajomości jej z rozmaitemi szumowinami miejskiemi, dała też za wygranę i pierwsza zamilkła.

— A zresztą niema o czem gadać... — zakończyła Julia, kładąc na siebie chustkę, a na głowę zarzucając lekki szal.

Otworzyła już drzwi, gdy Berta, którą w przejściu trąciła, oburzyła się.

— Gdy kto kogo trąca, powinien za to przeprosić!

Otrzymała jednak zamiast przeprosin zniewagę, którą jej Julja rzuciła swym ochrypłym głosem.

Berta postawiła żelazko.

— Ej, bądź cicho, stary drągu! — pogroziła jej. —

Julia zbladła. Prawe jej oko zabłysło. Przez chwilę stała w milczeniu, potem zaczęła wymyślać, dobierając najordynarniejszych słów. jakich się nauczyła od swych nocnych przyjaciół. Berta jej odpowiadała w ten sam sposób. Nagle jednak Julia zatrzasnęła z całych sił drzwi i szybko wyszła. Berta wzięła się na nowo do kamizelki, którą prasowała. Pani Lambert mruczała do siebie:

— Skończy się jednak na tem, że będę zmuszona ją oddalić...

Nie mogła się jednak na to zdecydować. Przedewszystkiem Julia zdolna była zemścić się za wydalenie, a przytem w tym sezonie było bardzo wiele roboty, a nie tak łatwo znaleść dobrą prasowaczkę.

— Mogłabym o tem coś powiedzieć... — rozmyślała właścicielka.

Dnia poprzedniego musiała właśnie poświęcić swą najlepszą pracownicę dla dogodzenia klijentce. Gdy Ewa razem z Ludwiką poszły odnieść bieliznę pani Radoux, notaryuszowa zaczęła przyglądać się dawnej nauczycielce z taką ciekawością i natarczywością, iż piękna brunetka, widząc zmieszanie swej przyjaciółki, stanęła w jej obronie i obdarzyła klijentkę potokiem słów więcej dobitnych, niż uprzejmych. Na drugi dzień rano pani Lambert otrzymała list pani Radoux z żądaniem wydalenia zuchwałej prasowaczki.

Tymczasem zegar zawieszony nad kominkiem wybił wreszcie dwunastą godzinę. Z pierwszem uderzeniem wszystkie żelazka stanęły. Pani Lambert na niebieski fartuch przypasała biały kuchenny. Prasowaczki wychodziły jedna za drugą.

— Ach! ta Julia, to prawdziwa zaraza! — rzekła Berta, zdenerwowana jeszcze poprzednią dysputą. — Wiecznie w złym humorze!

— Nagadałyście sobie na cały rok! — odezwała się Helena.

— To mniejsza — mówiła dalej Berta, zmieniając ton — trzeba było patrzeć na Ludwikę, jak blednie cała i marszczy się...

— Nie lubię kłótni — przyznała Ludwika.

— I ja również — dodała Helena.

— Ty jednak — zauważyła Berta — w czasie takiej sprzeczki nie jesteś pomarszczoną i bladą, lecz czerwienisz się i drżysz, jak dziewczyna wiejska, gdy ją swatają... Nie! Jakie wy obie jesteście dziwne! Mnie znowu nic tak nie cieszy, jak dobra kłótnia!

— I mnie tak samo — rzekła Leontyna, wysoka, ordynarna dziewczyna, przyjęta na miejsce Ewy. — Zawsze mnie to podnieca... Bierze mnie wtedy chętka wmieszania się do walki!

Gdy prasowaczki wyszły wreszcie na ulicę, rozeszły się każda w swoją stronę. Helena miała du-

ży kawałek drogi do zrobienia, by dostać się do swego domu. Leontyna jadła zwykle śniadanie w mleczarni. Stołowała się tam i Berta, przed śniadaniem jednak kupowała sobie zeszyt sensacyjnej powieści, którą czytała przy jedzeniu.

Julia, która zawsze potrafiła znaleść pretekst do opuszczenia pracy przed swemi towarzyszkami, już przed dwunastą siedziała za stołem w szynku, otoczona swymi przyjaciółmi. Z nimi również jadała obiad z tą tylko różnicą, iż nie w mieście, lecz za fortyfikacyami. Ludwika według swego zwyczaju kupiła sobie kawałek mięsa i wróciła do tego samego domu, w którym pracowała na parterze, a mieszkała na szóstem piętrze. Przeszła przez wybrukowane podwórze i weszła na boczne schody, ciemne i zawsze oślizgłe od wilgoci. Nie śpieszyła się. Nikt na nią nie czekał. Jej biedny, mały pokoik, czysty lecz pusty, wydawał się jej jeszcze smutniejszym, zwłaszcza iż nie miała naprzeciw przy stole Ewy. Piękna brunetka znalazła dla siebie miejsce w innej dzielnicy. Byłoby dla niej zbyt męczącem wracać na obiad na ulicę Laugier, lub choćby przychodzić na noc późnym wieczorem, gdy w pralni było dużo roboty. Wymówiła więc zaraz pokój, który zajmowała obok swej przyjaciółki; administrator domu zrobił jej nawet to udogodnienie, iż przyrzekł nie żądać zapłaty czynszu do końca kwartału, jeżeli na jej pokój znajdzie się nowy lokator. Na szczęście nie trzeba było długo na niego czekać. Wynajął go jakiś dziwny mężczyzna, który nigdy nie wychodził, nie czynił najmniejszego hałasu i ciągle drzwi swoje miał na pół otwarte. Osoby, które przechodziły przez korytarz, widziały za każdym razem zwrócone na siebie oczy tajemniczego lokatora.

Ludwika, gdy weszła na ostatnie piętro, stwierdziła, że te oczy są znowu na swym posterunku i z pewnym strachem pomyślała po niewiadomo już który raz, co to może znaczyć. Nie przypuszczała, że to ją właśnie śledzono.

Młoda panna zwróciła się na prawo, by wejść do swego pokoju, gdy nagle zatrzymała się i zbladła jak trup. Na kilka kroków przed nią rysowała się w cieniu wysoka i szczupła postać Piotra Cartelegue'a. Od kilku już chwil czekał tutaj na nią młody człowiek z sercem bijącem jak młotem. Ludwika na widok jego uczuła, że słabnie. Miała jednak tyle jeszcze sił, iż pozostała wyprostowana, lecz nieruchoma i niezdolna do wymówienia choćby jednego słowa. Piotr złożył ręce i hamował się, by nie upaść przed nią na kolana. Wzruszony był ubóstwem Ludwiki w ubraniu robotniczem i chudością jej bladej twarzy, na której szare jej oczy wydawały się jeszcze większemi.

— Ludwiko... — szepnął stłumionym głosem.

Przerwał na tem, nie mogąc nic więcej powiedzieć. Ogarnęło go niewypowiedziane uczucie miłości i litości na widok tej, którą uważał za najczystszą i najukochańszą, a zarazem i za niecną. Coś go pchało, by upaść jej do nóg i łkanie zrywało mu się w piersiach. Lecz wyprostował się... Przypomniał sobie listy, podpisane nazwiskiem Karola Turnera, które wyrwał z rąk pana Radoux... Zdawało mu się, że słyszy jeszcze słowa Australczyka: „Jakiem prawem wymienia pan tutaj nazwisko tej osoby? Zabraniam panu tego!“

Tymczasem młoda panna opanowała się zwolna. Postawiła na podłodze talerzyk, by nie wydawać się śmieszną i czekała, by Piotr zaczął mówić. Widząc jednak, że milczy, zaczęła:

— Czego pan sobie ode mnie życzy? — rzekła, starając się pohamować drżenie głosu.

Młody człowiek westchnął nerwowo i szepnął:

— A więc, Ludwiko, to co mi powiedziano, jest prawdą?... Pracujesz w pralni?... Mieszkasz tutaj?...

Przypomniał sobie teraz swą dawną radość na myśl, że skromnej nauczycielce da miłość, poważanie i rozkosz. Tak przyjemną mu była myśl, że ukochana jemu wszystko będzie zawdzięczała. A teraz biedaczka pozbawiona była nawet tego skromnego stanowiska u baronostwa, które Piotr uważał za niegodne jej. Pracowała ciężko własnemi rękami i po skończeniu całodziennej pracy, po zdobyciu nędznego zarobku, wracała na odpoczynek na poddasze.

Ach! Jeżeli naprawdę rzucono na nią oszczerstwo, jeżeli istotnie jest niewinną ofiarą, za jaką ją uważa, jak ciężkie życie musi obecnie prowadzić między wspomnieniami przeszłości a zapowiedzią tak smutnej przyszłości.

Przez chwilę zdawało się Piotrowi, że schwyci ją w swe ramiona i płacząc, będzie prosił o przebaczenie. Na usta cisnęły mu się słowa, które chciał mówić: „Ludwiko! Wierzę ci! Kocham Cię! Bądź dobrą i zapomnij, żem cię zaraz nie obronił! Wstrętni nędznicy chcieli cię zgubić! Pomożesz mi ich zdemaskować i pomścić się...“ Nie poruszył się jednak i nie rzekł słowa. Myśl paraliżowała uczucie.

„Serce me woła, że to dziecko jest męczennicą... — myślał. — Krzyk jednak serca nic nie mówi... Najmniejszy dowód sto razy więcej by znaczył...“

Tymczasem Ludwika powtórzyła:

— Czego pan ode mnie żąda?

Młody człowiek z wysiłkiem odzyskał swą zimną krew i rzekł:

— Troszczą się o ciebie, Ludwiko!

— O mnie się troszczą?

— Ja i mój przyjaciel, Maixent, staramy się wyjaśnić sprawę, z powodu której opuściłaś dom państwa de Lagunan.

— Co to ma znaczyć?

Młoda panna mówiła bezdźwięcznym głosem i z trudem trzymała się na nogach. Zrodził się w niej słaby błysk nadziei.

— Sądzimy — mówił dalej Piotr Cartelegue — iż był to ukuty przeciw tobie spisek... Wiele rzeczy pozwala nam domyślać się, że listy, jakie pani de Lagunan znalazła u ciebie, były podrzucone...

— Ach!... — wyrwało się z piersi Ludwiki.

Nadzieja rosła. Może uznają jej niewinność! Myśl ta przyśpieszyła bicie jej serca. Obie ręce przyłożyła do piersi.

— I przyszedłem — tłómaczył młody człowiek — z prośbą do ciebie, byś nam pomogła... Powiedz, czyś znała tego Karola Turnera?...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

LOGOGRYF.

Ułożył D. K. Tatara, S. Genesio koło Medyolanu.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Litery, umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko słynnego żołnierza z czasów Kościuszkowskich.

□ — — — — — — —
— □ — — — — — —
— — □ — — — — —
— — — □ — — — —
— — — — □ — — —
— — — — — □ — —
— — — — — — □ —
— — — — — — — □
— — — — — — □ —
— — — — — □ — —
— — — — □ — — —
— — — □ — — — —
— — □ — — — — —
— □ — — — — — —
□ — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Kraj austryacki. 3. Inaczej załoga. 4. Rzeka na Podolu, dopływ Dniestru. 5. Trujący grzyb. 6. Jedna z ziem, składających Królestwo Polskie. 7. Zaciekłość w bronieniu pewnych zasad. 8. Miasto w Rosyi nad rzeką Uralem. 9. Król polski. 10. Kolor. 11. Rewolucyonista i bohater angielski w XVI w. 12. Filozof grecki. 13. Przyrząd optyczny. 14. Najwyższa szkoła. 15. Stan w Ameryce Północnej.

LOGOGRYF.

Ułożył D. K. Tatara, S. Genesio koło Medyolanu.

Kwadraty i kreski odpowiednio zastąpione literami utworzą szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu, Pierwszy i ostatni szereg, czytany z góry na dół, utworzy nazwiska dwu polskich autorek, poetki i powieściopisarki.

□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Lokal towarzyszki. 2. Stopień wojskowy. 3. Kwiat ogrodowy. 4. Rzeka w Afryce. 5. Jezioro w Estonii. 6. Jezioro w gubernii Wileńskiej. 7. Miasto w Syberyi. 8. Przyrząd wioślarski. 9. Miasto w Galicyi. 10. Kraj w Europie.

ŁAMIGŁOWKA.

Ułożył J. Menczak, Przemyśl.

Z każdego z poniżej umieszczonych wyrazów wyjąć po jednej literze i ułożyć z nich polskie przysłowie:

Łój, maj. kit, las, pal, era, bat, cap, paw, tan, Zan, kur, aga, pij, był, raz, koc, asy.

ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA.

Ułożył S. Foltman, Borysław.

W poniżej umieszczonym kwadracie poprzestawiać cyfry w ten sposób, aby suma ich we wszystkich kierunkach, t. j. pionowym, poziomym i wzdłuż obu przekątni utworzyła 25.

1	3	5	7	9
1	3	5	7	9
1	3	5	7	9
1	3	5	7	9
1	3	5	7	9

SZARADA.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwsze z drugiem to zioło, rosnące na grzędzie
W kuchni nader przydatne, zaś pierwsze i trzecie
Gdy dzień jasny, pogodny, a gorący w lecie
Takich małych owadów zawsze pełno wszędzie,
Czy w ogrodzie, czy w polu, w lesie, czy na łące
Buja ich przez dzień cały setki i tysiące.
Czasem, to i w salonie pierwsze z trzeciem bywa,
Obok króla, królowej swe miejsce zdobywa.
Całość, nazwisko męża co nauką słynął,
Co pracował dla ziemi, a patrzył w niebiosy,
Od tych czasów niejeden dziesiątek lat minął
I wszystko się zmieniło, ludzie i ich losy!
Tylko wiedza zdobyta służy potomności,
Ułatwiając dla wielu naukę w przyszłości.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *K. Dickensa:* **Klub Pickwicka.** Powieść w 3 tomach z 41 illustracyami.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie.